

R E C E N Z J E

Rafał Stobiecki, *Jerzego Giedroycia przygoda z rewizjonizmem*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Stowarzyszenie Instytut Literacki Kultura, Łódź–Paryż 2025 (Jerzy Giedroyc i... Monografie), ss. 332

Recenzowaną książkę przeczytałem z zainteresowaniem i szybko, bowiem dobrze się czyta. Doceńam oczywiście głębokie przepracowanie materiału przez Autora i obszerne przypisy, do których odczuwałem już mniejszy zapal – ale cenię je, bowiem dają możliwość rozszerzenia treści źródłowych w potrzebie.

Ciekawe były dla mnie sprawy „Kultury” jako pisma. W swoim czasie nie czytałem jej pilnie, wręcz była ona daleko ode mnie na co dzień. Może trochę tu przesadzam – celowo, by zaostrić pytanie, które mnie męczy: w jakim stopniu „produkty” emigracyjne miały wpływ na to, co zachodziło w Polsce? Dziś oczywiście zarysowuje się obraz jakoby „wszyscy” czytali „Kulturę” i pozostawali pod wpływem myśli Jerzego Giedroycia. To jest jednak duży, ważny i wcale niełatwy temat. Prywatnego przemyślenia przez granicę nie da się zbadać. Częstotliwość protokolowanych wpadek musiałaby być bardzo duża, by nasuwała wnioski – ale gdyby tak było, to ludzie przestaliby wozić. Zapewne można jakoś stwierdzić do ilu bibliotek uczelnianych czasopismo trafiało. Nawet jeśli lokowano je w dziale „cymeliów”, to akurat w Polsce nie było tam szczególnie trudno czytelnikom przeniknąć. Nie dowiemy się jednak, ilu ich przeniknęło. Z uwagi na pismo, w którym ukazuje się ta recenzja wspomnę, że „Kultura” trafiała do Biblioteki IH PAN. W jakimś momencie jej komplet „wypożyczyła” nawet SB (tak powiedzieli – choć nie wiem czy zostawili rewers i czy oddali!). Był wszakże jeszcze jeden krąg odbiorców krajowych, o którym zwykle nie myślimy: środowisko kierownictwa państwowo-partyjnego. Ten nabywca – niekoniecznie identyfikujący się przy zakupie – mógł być nawet istotny dla budżetu czasopisma, bowiem na ogół kupował więcej niż jeden, jedyny egzemplarz. Mówię o tym bez kpiny, na serio. Odmienne niż w ZSRR, w Polsce po 1956 r. środowisko „kierownictwa” było relatywnie mało izolowane, mało zdyscyplinowane... Jeżeli w jakimś momencie, nie mając nic wspólnego z „nimi”, ale mając znajomego, czytałem biuletyn PAP-u oraz, co ważniejsze, biuletyn „Polska w oczach Zachodu” (przedruki artykułów w tłumaczeniach, przeznaczone dla kadry), to widać nie były to druki ścisłego zarachowania.

Oczywiście, odpowiedź na pytanie o czytelnictwo i wpływ „Kultury” w kraju zależy od konkretnych środowisk, osób, także od momentu historii. Od tego niedaleko już do prawie prawie filozoficznego pytania o stopień wpływu elity, czytanej w „Kulturze”, na masę „ludu pracującego miast i wsi” (co też zależało od momentu). Łatwo pójść jeszcze dalej, do zagadnienia, w jakim stopniu treść myśli, dających się zaliczyć do rewizjonizmu, oraz sami rewizjoniści, byli blisko lub daleko od przeciętnych narodowych. Myślę, że sytuowali się raczej dalej niż bliżej, ale ta sprawa jest bardzo trudna. Wbrew pozorom, rzekomo oczywisty brak entuzjazmu ludzi dla PRL (poza specyfiką początku Gomułki), też nie w każdym aspekcie życia był oczywisty. Współwystępował z chęcią uzyskiwania darmowych bądź relatywnie tanich mieszkań i późniejszego żalu, że już ich nie ma – przy zapomnianiu o czasie oczekiwania na nie w PRL.

Dalsza sprawa: trudno jest odróżnić wpływ „Kultury” od wpływu związków z Zachodem. Giedroyc starał się o kontakty z ciekawszymi przyjeżdżającymi. Nie dowiemy się, jak wielu jeżdżących na Zachód miało kontakt z drukowaną „Kulturą” wcale nie w jej siedzibie. Choćby, przechodząc przez Boulevard St. Germain, niejeden Polak zaglądał do polskiej księgarni (dobre miejsce!). Mógł też czytać czasopismo u niejednego polskiego emigranta w domu. Moim zdaniem, najważniejszym wpływem emigracji na kraj było zaferowanie możliwości przenocowania u znajomych lub wręcz rodziny i związane z tym ułatwienia (ironizuję tylko trochę!). W ogóle mało się widzi rolę relatywnie



częste w wypadku Polski jeżdżenia na Zachód, także dużej przenikalności kultury zachodniej do PRL po 1956 r. (przy całej kontroli „celnej” na granicach).

Z biegiem czasu zmieniała się (na dobre lub na złe, zależy) mentalność samej PZPR i mentalność kraju – co trzeba brać pod uwagę przy rozpatrywaniu wpływu emigracji, w tym „Kultury”. Trudno mi nie wspomnieć własnego doświadczenia. Nigdy nie byłem wielkim buntownikiem (członkiem Partii pisanej z dużej litery też nie!) – ale gdy pojechałem na Kubę w 1971 r., byłem przerażony odkryciem w tropikach podobieństwa do naszego modelu¹. Co najpewniej u nas postrzegałem, nawet jeśli bez entuzjazmu, jako codzienność, tam rzucało mi się w oczy. To jednak znaczy, że mogło się rzucić. Nie przypuszczam, by rzucało się komuś z Moskwy.

Zainteresowała mnie postawa „Kultury” wobec kraju i ludzi z kraju. Sam często wolałem kontakt z cudzoziemcami niż z emigrantami, gdyż u tych drugich nieraz wyczuwałem zadzieranie nosa. Im się lepiej żyło. Nawet jeśli nie należałem do ubogich, to po prostu nasz standard był marny. Oni nieraz sądzili, że my niewiele wiemy. Nawet więcej: choć miewało się myśli niezależne, to nie dawało się ukryć, że funkcjonowaliśmy wśród wielu treści, które nas przenikały. Nawet do warszawskiej „Kultury” przyzwyczailiśmy się. Najpierw w środowisku mi bliższym pluiliśmy na nią. Przecież nieprzypadkowo dano jej właśnie taki tytuł, a w ogóle zastąpiła „Przegląd Kulturalny”... Z czasem jednak czytaliśmy ją, może nawet pisaliśmy do niej. Jeśli zaś, będąc na Zachodzie, ktoś przejawiał jakieś zastrzeżenia do kapitalizmu... to w ogóle wychodził w oczach wielu emigrantów fatalnie – choć znałem ludzi zachodnich „z urodzenia”, którzy też mieli zastrzeżenia do tamtego świata. W tym, co w książce pojawia się o postawie redakcji „Kultury” wobec ludzi z PRL, również wyczuwam trochę zadzierania nosa, chęci oddziaływania mądrzejszymi treściami itd., ale rozumiem, że było to łagodniejsze niż w innych środowiskach emigracyjnych.

W trakcie czytania książki pozytywnie zwróciła moją uwagę poważna refleksja środowiska redakcji „Kultury” na temat PRL, myśli socjalistycznej i PRL-owskiej, no i oczywiście – zgodnie z tytułem – rewizjonistycznej. Może jestem naznaczony przez okres mojej największej aktywności zawodowej – gdy po upadku PRL przyszedłem na UW. Popychałem studentów ku badaniu PRL, życia ludzi w PRL, funkcjonowania wszystkiego, co się da badać... a w dyskursie publicznym słyszałem niewiele więcej niż powtarzające się „rewelacyjne” odkrycie, że PRL była złą receptą na życie. Informacje w książce o refleksji „Kultury” nad myślą socjalistyczną, marksistowską, PRL-owską itd. były może dla mnie tym cenniejsze, że sam zawsze jakoś bardziej zajmowałem się społeczeństwem i jego życiem niż historią myśli społecznej (idei) – choć wiem, że oba te pola trudno oddzielić.

Ciekawe były dla mnie niektóre omówione sprawy szczegółowe – jak np. kontakty „Kultury” z prof. Adamem Schaffem. Także kontakty Jerzego Giedroycia z Witoldem Jedlickim i jego odnoszenie się do eseju *Chamy i Żydy*. Te postaci – by zatrzymać się przy wymienionych przykładach – są ciekawe przez swoją wieloznaczność oraz skutki własnych prac, może czasem niekoniecznie pożądane przez samych autorów (*Chamy i Żydy* jako podbudowa ideologii Moczara!).

Zaciekały mnie wielokrotnie wracające w powoływanych w książce wypowiedziach uwagi o podobieństwie myślenia komunistycznego i praktyki tej koncepcji ustrojowej do religii oraz struktury kościelnej. W moim przekonaniu sprawa dotyczy nie tylko komunizmu. W wielu ustrojach totalitarnych, a nawet „tylko” autorytarnych, pojawia się takie podobieństwo. One nawet same tworzą heretyków. W takich ustrojach ludzie bliscy centrum na ogół więcej wiedzą, na więcej się odważają, są bardziej ideowi – nawet jeśli może to być ideowość fatalna z punktu widzenia zewnętrznego obserwatora. Spisek przeciw Hitlerowi narodził się wśród jego ludzi, którzy zobaczyli, ku czemu to wszystko zmierza – a teksty, pozostawione przez spiskowców, wcale nie są sympatyczne. W systemie komunistycznym tylko Chruszczow mógł dojrzeć do wygłoszenia znanego referatu i mieć możliwość zrobienia tego. Podobno Beria (!) też miał szanse odegrać taką rolę – gdyby go Chruszczow nie

¹ M. Kula, *Notatki z Kuby (styczeń – marzec 1971)*, w: idem, *Komunizm i po komunizmie*, Warszawa 2006, s. 107–131.

wykończył. By dać przykład miejscowy, mniejszej skali, powołałam nazwisko człowieka, z którym z wielu powodów sympatyzowałam: prof. Stefana Żółkiewskiego. Był on jedną z czołowych postaci PPR i PZPR. Publicznie powiedział, co myśli o milicji bijącej studentów w marcu 1968 i, jeśli dobrze pamiętam, zaprotestował przeciwko wyzywaniu jakiejś studentki od Żydówek. Potem został na noc ze studentami na strajku... Dlaczego akurat on to zrobił? To, co nadawał establishment, było sprzeczne z jego postawą ideową (komunistyczną!). On znał też rządzących towarzyszy na tyle, że mogło mu przejść przez głowę sprzeciwienie się im... a mnóstwo ludzi starało się wówczas chodzić własnymi, możliwie dalekimi drogami... W podobnym kontekście warto wymienić Władysława Bieńkowskiego – nie mówiąc o „rewizjonistach” wywodzących się z Instytutu Kształcenia Kadr Naukowych przy KC PZPR czy Wydziału Filozofii UW.

Wśród wyraźnie rysujących się spraw innego typu ciekawa była dla mnie kwestia relacji rewizjonizmu i dążenia do niezależności narodowej. Polski Październik niósł dużo treści z obydwu tych zakresów myślenia; właśnie owo połączenie dawało moc ruchowi i przysporzyło znaczenia tej dacie. W swojej drodze badawczej bardzo interesowałam się połączeniem haseł zmiany społecznej i dążenia do emancypacji narodu – czasem prowadzącym w kierunku (upraszczam) komunizmu, a czasem (też upraszczam) przeciw niemu, jak w wypadku Solidarności.

Ciekawa jest także sprawa związków inteligencji i robotników – w formie „chodzenia” inteligencji „w lud” wymarzonego od bardzo dawna, zresztą może przede wszystkim w Rosji, a w końcu zrealizowanego (na krótko) – w Solidarności. W ogóle do przyszłych podręczników historii powinno wejść zrealizowanie się w Polsce wizji marksistowskiej – wprawdzie nie burżuazja, ale grupa dysponentów środków produkcji stworzyła siłę, która zwróciła się przeciw niej, czyli wielkie skupiska proletariuszy. Jest paradoksem historii, że z tej realizacji wizji marksistowskiej – siłami robotników – powstał kapitalizm.

Zaciekawiała mnie też pożądana przez rewizjonistów wizja organizacji społeczeństwa – poruszona w książce poprzez pokazywanie dyskusji środowiska „Kultury”. Czy ograniczała się ona do Rad Robotniczych oraz ich czapkowej struktury?

Takich spraw, wartych pogłębienia, można wskazać więcej – jak to bywa w dobrej książce. Trudno jednak nieograniczenie pogłębiać wszystko. Powiedzmy sobie, że życie jest w ogóle trudne. Autor używa terminów „prawicowe” i „lewicowe”. Używano ich wtedy, dziś nieraz też. Czy jednak realia i myślenie dominujące w PRL naprawdę były lewicowe? Wszystko, co PRL-owskie, reklamowano jako takie; ludzie też używali słów „prawica” i „lewica”. Czy jednak z kolei Solidarność była prawicowa? Nie jestem tego wszystkiego pewien. Nie mogę wszakże od nikogo wymagać zajęcia wyraźnego stanowiska, skoro niedawno sam miałem nieprzewidywalne kłopoty w tłumaczeniu uczniowi podstawówki, co to znaczy „lewica”, a co „prawica”. Zapewniłem go tylko, że sam prawicowcem nie jestem.

Marcin Kula

Paweł Machcewicz, *Narodowy komunizm po polsku. „Partyzanci” Moczara*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2025 (Seria Historyczna, 52), ss. 543

Jako historykowi, piszącemu o pracy historycznej, wypada mi zacząć pochwały od uwag o autorskiej bazie źródłowej. Jest przeogromna i – co ważne – różnorodna. Wśród źródeł znalazły się oczywiście materiały PZPR i SB, materiały Radia Wolna Europa czy prasa – ale także ówczesne badania opinii i literatura piękna z tych czasów – ta ostatnia zarówno z pytaniem, co ludzie wówczas czytali, jak i o treści, jakie analizowany nurt polityczny chciał przekazywać. Bardzo ciekawe są dostrzegane przez Autora specyficzne cechy rodzajów źródeł jako materiału do badania. Oczywiście, na ten temat można pisać książki. Wiadomo, że z najbardziej cenzurowanej prasy można dużo wyczytać – choć czasem niezgodnie z intencjami cenzorów. W końcu tak pracował za okupacji Ludwik Landau, zaś znakomita analiza hitleryzmu Franza Neumanna, powstała w USA za czasów wojny, też w ogromnym stopniu w oparciu o jawne materiały hitlerowskie.

Ciekawe są materiały cenzury, które wykorzystuje Machcewicz – zarówno dla wiedzy o tym, co cenzurowano, jak dla intencji środowisk nią sterujących. Autor porównuje nawet kolejne wersje ukazujących się tekstów – i to nie tylko, co oczywiste, wygłoszony i wydrukowany tekst przemówienia Gomułki na Kongresie Związków Zawodowych w 1967 r., ale dwie kolejne wersje *Wzlotu* Iwaskiewicza. Analizuje okrzykane hasło o obozach koncentracyjnych w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN – dochodząc do ciekawego wniosku, że są w nim faktycznie błędy, ale to nie one miały znaczenie dla podjęcia sprawy w prowadzonej kampanii. Analizując „marcową” tezę o „niewdzięczności Żydów”, rozpatruje nie tylko jej funkcję, ale – odwołując się do badań przeprowadzonych przez Jana Grabowskiego na przykładzie Dąbrowy Tarnowskiej – sprawdza, ile było w niej realnie sensu lub bezsensu. Konfrontuje książkę Tadeusza Walichnowskiego z mądrzejszą wiedzą o stosunkach Izraela z Bonn. Ostrożnie traktuje opinie SB o stanie opinii – bowiem zdaje sobie sprawę, że ludzie nią sterujący mogli chcieć wpłynąć w jakimś kierunku na wyższe władze, a formułowanie pewnych opinii mogło im samym być wygodne lub niewygodne (nie należało pisać o własnych błędach, ani denerwować władz!). Faktycznie, gdy czyta się u Machcewicza, że według SB większość polskich Żydów popierała Izrael, zaś nie-Żydzi sympatyzowali ze stroną arabską do tego stopnia, iż spontanicznie donosili o tych pierwszych, przypomina się powtarzane wówczas w Warszawie powiedzonko: „Nasze Żydki biją ruskich Arabów” – skądinąd też niesympatyczne i niekoniecznie mocno obecne w różnych środowiskach.

Podobnie wielostronnie ważne informacje Machcewicz uzyskuje z analizy haseł i uchwał, rezolucji czy listów. Prywatne listy (przechwycone przez odpowiednie służby) z natury rzeczy nie muszą – choć mogą – być reprezentatywne. Nie pochodzą jednakowoż z Księżyca, odsłaniają sposoby rozumowania, chęci uzyskania czegoś od adresata, nieraz wiele mówią nie tylko o tym, o czym pisał korespondent. Ludzie w skargach do władz często uderzali w ton egalitarny (dlaczego inni mają czegoś więcej, choć oni pracują ku pożytkowi... itd.). Często pisali specyficznym językiem. Mogło to wynikać z internalizacji języka propagandy, a nawet ciągle powtarzanej ideologii (pytanie jak głębokiej internalizacji – ale warto pamiętać końcową scenę u Orwella!). Mogło też wynikać z cynicznego uderzenia w ton, który władze mogły zaakceptować i załatwić coś dla piszącego.

Sprawy języka same w sobie też interesują Autora. Zwraca on uwagę na znaczenie formułowania nazwisk w liczbie mnogiej („Zambrowscy”, „Staszewscy”, „Schaffowie”, „Werflowie”, „Bermanowie” i in.). Sygnalizuje, że termin „partyzanci” został ukuty poza grupą. Interesuje go, jak się rozpoznał (rola Wolnej Europy i tutejszego poufnego biuletynu z jej audycjami – co samo w sobie jest ciekawe, a co Machcewicz akurat dobrze zna jako autor książki o WE). Można dodać, że ważny dla „marcowego” tematu termin „komandosi” też został ukuty przez środowiska zewnętrzne, wrocie środowisku. Co również ważne, Autor widzi uwarunkowania języka partyjnego i to, że trzeba go czytać z pewnymi niuansami, na przykład eliminując rytualne ozdobniki.

*

Autor podjął temat, o którym niejedni historycy już pisał. Odwołuje się do tej literatury – ale widać, że jest czytany znacznie szerzej, i to nie tylko w dziełach historycznych. Co bardzo pozytywne na tle wciąż dominujących w polskiej humanistyce obyczajów, jest czytany interdyscyplinarnie i podobnie myśli. Bardzo ważne, że rozpatruje badany casus, bądź jego elementy, na tle analogicznych zjawisk w innych krajach, także w innych czasach. Nawiązuje nawet to definicji dyskursu opracowanej w kontekście badań nad Związkiem Południowej Afryki, czy do myśli o „koźle ofiarnym”, sformułowanych przez René Girarda, czy do konceptu „paniki moralnej” Stanleya Cohena, do konceptu „czarownic”, funkcjonującego przecież w różnych epokach z różnymi desygnatami, do obrazu Żyda jako symbolu wszelkiego zła, do rozwiązań przyjętych w ramach autorytaryzmu gen. Franco – skąd zaczerpnął pojęcie „rodzin politycznych”. Przy sprawach klientelizmu Autor wspomina badania Antoniego Mączaka, czyli badacza innej epoki, a w odniesieniu do *Nie-boskiej komedii* Zygmunta Krasieńskiego powołuje refleksję Janusza Tazbira. Nawiązuje do poglądów Stanisława Staszica, Juliana Ursyna Niemcewicza, pamięta też o przebiegu 1905 r. Za Grzegorzem Krzywcem przypomina, iż „w warunkach niewoli i carskiej cenzury antysemityzm, o ostrzu wymierzonym w Żydów napływających z Rosji działał jak substytut antyrosyjskości, a tej rzecz jasna władze nie tolerowały” i zwraca uwagę na podobieństwo tej sytuacji z antysemicką kampanią „partyzantów” (s. 461). W ogóle pamięta o długim trwaniu pewnych zjawisk – jak teorie spiskowe, w tym tezy o dążeniu Żydów do zapanowania nad światem (s. 302: „SB już w połowie lat sześćdziesiątych postrzegała Żydów – polskich i zagranicznych – poprzez pryzmat światowego spisku. Można to podejście uznać za kontynuację dobrze ugruntowanych stereotypów i sposobów myślenia, często spotykanych w rozmaitych krajach i środowiskach. Obok Żydów, oskarżanych o knowania przeciwko chrześcijanom, profanowanie hostii i mordy rytualne, bohaterami spiskowych teorii byli we wcześniejszych stuleciach templariusze, jezuita, masoni. Od XIX wieku, wraz z rozwojem nowoczesnego antysemityzmu, to jednak Żydzi coraz bardziej zajmowali coraz więcej miejsca w wizjach spisków zagrażających porządkowi społecznemu”).

Mówiąc o „partyzantach” Moczara, Machcewicz nawiązuje do grupowych związków „pułkowników” w okresie dwudziestolecia, oraz, szerzej, do zjawiska ruchów kombatanckich (włoski faszyzm!). W kontekście „narodowego komunizmu” pamięta o Jugosławii Tity i Rumunii Ceaușescu, pokazując podobieństwa i różnice polskich zjawisk. Szkoda, że w Polsce rzadko włącza się do analiz narodowy komunizm azjatycki i na Kubie.

Machcewicz pokazuje rozgrywanie „sprawy żydowskiej” w różnych krajach „obozu pokoju i socjalizmu”. W kontekście sporów wewnętrznych pamięta o 1937 r. w ZSRR i o „rewolucji kulturalnej” w Chinach. Musi skupić się na swoim temacie – ale przynajmniej widzi, że własny kraj i przeżywane zjawiska nie były (i nie są!) jedyne w swoim rodzaju. Oczywiście każde zjawisko jest w jakimś sensie wyjątkowe. Machcewicz podkreśla, a trudno się z nim nie zgodzić, że na przykład ruch kombatancki Mussoliniego i polscy „pułkownicy” działali w innych historycznych okolicznościach niż Moczara. Każde zjawisko warto wszakże porównywać z innymi z rozpatrywanego zakresu choćby po to, by widzieć jego ewentualną specyfikę. Przy wszystkich szczególnych cechach tutejszych manifestacji i strajków na uczelniach, w przyszłym podręczniku historii powszechnej bądź w poważnej analizie ruchów studenckich, będzie o nim mowa obok ruchów w USA, Europie Zachodniej i Ameryce Łacińskiej (nie potrafię powiedzieć, czy studenci demonstrowali wtedy w Azji, w Australii, Nowej Zelandii i Oceanii – ale pewno też).

*

Pozytywną cechą książki jest bardzo wszechstronna analiza rozpatrywanego zjawiska. Jest ono dobrze inkrustowane w ówczesną rzeczywistość. Można tę książkę przeczytać po prostu po to, by poznać wydarzenia i zrozumieć, dlaczego były ważne w historii Polski. Dla mnie ciekawe było

wiele spraw pozornie drobnych, którym Machcewicz przyjrzał się jak przez mikroskop – czy to jako charakterystycznym, czy dla zrozumienia działania systemu. Najważniejsze były wszakże dla mnie sprawy cenne z punktu widzenia tematów ogólniejszych. Pierwszy z nich to komunizm jako zjawisko. Było ono wyjątkowe – ale nie całkiem. Poza wszystkim było wytworem ludzi, nawet jeśli czasem nieludzkich. Oczywiście o komunizmie mnóstwo pisano i będzie się pisać zapewne do końca świata – ale pojawiają się w książce sprawy, które rzucają się w oczy. Zaciekało mnie na przykład zarysowanie funkcjonowania elity władzy jako pewnej społeczności – zarazem („rodzinnie”) zjednoczonej i skłóconej – a w tym roli „sekretarzy partyjnych sekretarzy” (Namiotkiewicz, Frelek). Interesujący był także obraz systemu podnoszącego hasła równościowe, a zarazem opartego na przywilejach (domy wczasowe dla elity, przywileje nawet dla potomstwa członków ZBoWiD-u, system punktów na uczelnie, „Karty” nauczyciela, górnik... faktyczne przywileje dla górników, dawanie dłuższych urlopów „pracownikom umysłowym”, płacenie cenionym artystom przy odwrotnej postawie wobec ludzi zawodów „nieprodukcyjnych”... już nie mówiąc o kopertówkach dla „kierownictwa”...). Ważna była widoczna mała – mimo wstrząsów – ewolucyjność komunizmu. Machcewicz zauważa, że Moczara, po jego politycznym upadku, „zesłano” do NIK-u – jak wcześniej Zambrowskiego. Myślę, że takich rozwiązań, zakodowanych w głowach ludzi rządzących, było w komunizmie więcej.

*

Sprawa ważną dla historyków jest stosunek do historii w komunizmie. Przecież to był system budowany w oparciu o koncepcję historyczną (jak notabene chrześcijaństwo, z którego dróg myślenia zaczerpnięto więcej niż komunistyczna elita zdawała sobie sprawę). Ten system budował własną chwałę. Pamiętam, jak koledzy radzieccy mieli zastrzeżenia, iż w *Dziejach Ameryki Łacińskiej* IH PAN Rewolucja Październikowa nie została uznana za podstawową cezurę w dziejach tamtego kontynentu. Skądinąd zaś w ZSRR komunizm przyjmował całą tradycję Rosji jako własną, a na przykład w Rumunii sięgał do wielkości starożytnych Daków. W Polsce wygodniejsi byli Piastowie niż Jagiellonowie, gdyż ci drudzy za bardzo pchali się na Wschód. Grunwald był wyjątkowo wygodny. Nie było to jedyne sięgnięcie PZPR do bardzo odległej przeszłości. Wbrew Kościółowi twierdzono, że chrzest był dziełem państwa już ukształtowanego (pytanie, jakie było to państwo, skoro Popiela zjadły myszy?!). W odniesieniu do bliższych czasów zamiast Monte Cassino trzeba było podstawić Lenino, a potem Moczar podstawił bitwę pod Rąbłowem. Generała Świerczewskiego trzeba było podstawić (a przynajmniej starać się podstawić) w pamiętanej w Polsce roli Piłsudskiego. Mariana Spychalskiego trzeba było zrobić marszałkiem, a na sesji Tysiąclecia na Wawelu trzeba było powiedzieć, że jedni nieśli do narodu świadomość klasową, a drudzy (endecy) narodową. Wbrew dzisiejszym opiniom to wszystko było dalekie od marksizmu, a marksizmem najpierw stawała się myśl Stalina, później zaś kolejne uchwały KC. Barbara Szacka zanotowała w swoim pamiętniku: „Kiedyś w korytarzowej rozmowie z partyjnym socjologiem w odniesieniu do jakiegoś tekstu określonego jako marksistowski powiedziałam: «przecież on nie ma nic wspólnego z marksizmem». Rozmówca spojrzął na mnie i z porozumiewawczym uśmiechem powiedział: «my tu wszyscy jesteśmy marksistami, więc cokolwiek napiszemy, jest marksistowskie»”¹.

Stosunek do historii był w znacznym stopniu motywowany bieżącą polityką. W ramach walki nie tylko o historię Stalin potrafił schować kilka listów Lenina, Gomułka coś tam chował z okupacyjnych spraw Spychalskiego, milczano o pewnych sprawach Korczyńskiego, nikt nie chciał mówić o okolicznościach śmierci Nowotki... a w Katyniu, choć jakoby był zbrodnią niemiecką, na wszelki wypadek nie składano kwiatów. Tak samo, choć nikt nie miał wątpliwości, że profesorów we Lwowie zabili Niemcy, nie pozwalano we Wrocławiu zbudować ich pomnika

¹ B. Szacka, *Życie i pamięć w mrocznych czasach*, wstęp E. Hinsey, Warszawa 2024, s. 334.

(pamięć polskiego Lwowa!) – a gdy w końcu stanął, pomieszczono na nim mętny napis. Bieżącą polityką (w tym stosunkami z ZSRR) była dyktowana cała gimnastyka wokół pomnika Powstania Warszawskiego, uznawanie że dobrzy byli powstańcy, a nie wyższe szczeble – trwająca do samego odsłonięcia rzeźby. Owej gimnastyce towarzyszyła chęć uzyskania politycznego zysku z pomnika, jak zresztą z dążenia do prawdy o Katyniu pod sam koniec PRL. Wszystko było wyważone (liczba pomników!) i kontrolowane. Prawda, że czasem trudno odmówić podejmowanym decyzjom sensu (Centrum Zdrowia Dziecka i tysiąclatki zamiast kolejnych pomników – mimo rozlicznych słabości tych projektów). Przy tych wszystkich zabiegach komunizm potrafił mieć „słoniową pamięć” – co było tylko pozornie paradoksalne na całym tym tle. Ukrywanie i cenzurowanie spraw z przeszłości świadczy przecieź, że pamięta o nich ten, kto ma pamiętać. Pamiętało się Gomułce list do Moskwy o nieakceptowalnej liczbie Żydów w aparacie partyjnym, Moczar pamiętał Kasmanowi „grzechy” z czasu wojny itd.

*

Jeżeli nie wszystkie, to wielką liczbę zjawisk odnotowanych przez Machcewicza można by z sensem porównywać z analogicznymi w innych krajach obozu i poza nim. Na przykład potęga sił UB/SB wynikała nie tylko z koncepcji ustroju. Cechą środowisk policji i wojska jest ich wewnętrzne zjednoczenie w różnych krajach. Sam zetknąłem się z tym zjawiskiem, czytając o Ameryce Łacińskiej². Stalin złął się wojska, zrobił „wielką czystkę” i postawił na policję polityczną. Ta służba była zwarta i trwała – co widać po jej byłym oficerze działającym dziś w skali świata. Nawiasem: po zamachu w Wilczym szańcu Hitler miał powiedzieć, że nareszcie zrozumiał, dlaczego Stalin zrobił czystkę 1937 r.

Ciekawe, że środowisko Moczara nie było jedynym policyjnym, które dochodziło do przekonania, iż coś trzeba zreformować. Można wskazać także inne, poniekąd analogiczne wypadki, gdy wojsko lub policja dochodziły do takiego wniosku. Takie służby często dużo wiedzą, a mogą się odważyć dawać wyraz swojej wiedzy. Można znaleźć przykłady owego zjawiska z Ameryki Łacińskiej czy z Azji. Bliżej nas najpewniej dałoby się powołać casus Berii. Istnieją poważne przesłanki, że Beria planował reformy – inna sprawa, czy nam sympatyczne. Zrobiły na mnie wrażenie słowa Szlachcica – jeżeli zostały wiernie przytoczone przez Werblana – że gdy zostanie I sekretarzem, to: „Wtedy da się odnowić politykę w kraju, zerwiemy z tymi starokomunistycznymi bajdurzeniami. Postawimy na inteligencję. Zachowamy dobre stosunki ze Związkiem Radzieckim, ale otworzymy się w pełni na Zachód”³.

Ciekawe są uwagi Machcewicza, że „partyzanci” byli nowocześniejsi niż dotychczasowa elita PZPR. Oczywiście Stalin modernizował Rosję, ale to była – zaryzykujemy określenie – konserwatywna modernizacja z jednym celem: budowania ciężkiego przemysłu potrzebnego dla produkcji czołgów. Nie miejsce tu na rozwijanie wielkiego tematu, jak to godziło się z ideą komunizmu jako nowości, z ideą nowocześniejszenia właśnie Rosji itd. „Partyzanci” byli już o tyle nowocześniejsi, o ile może Polska od dawna była, mimo ułomności, nowocześniejsza od Rosji, a szeregi „partyzanckie” zbliżały się do przeciętnej narodowej – zwłaszcza do przeciętnych wśród ludzi po lepszych czy gorszych studiach. Byli już bliżsi mentalności narodowej niż starzy komuniści oraz ich wcześniej tworzony aparat. Myśleli w kategoriach narodowych, zwłaszcza chwały narodu i jego historii, nie miłowali ZSRR, imponował im deklaratywnie nie lubiany Zachód, a nade wszystko chcieli nie tyle realizować wskazania ideologii, ile mieć władzę i podchodzić do wielu spraw nie tyle ideologicznie, ile praktycznie. Historii chcieli użyć „jako tworzywa dla ideologii i narzędzia w walce politycznej” (s. 265). Byli skłonni kultywować wizję przeszłości odległą od dotychczasowej komunistycznej, a bliższą tradycyjnej narodowej.

² Przykładowo: D. Tótoro Taulis, *La Cofradia Blindada*, Santiago de Chile 1998.

³ A. Werblan, *Polska Ludowa. Postscriptum*, rozmawia R. Walenciak, Warszawa 2019, s. 293.

*

Machcewicz mówi również o nowocześniejszym – niż „zwykły” komunistyczny – sposobie działania „partyzantów”. Sam to obserwowałem, wiedząc o zapraszaniu naukowców jako prelegentów do MSW (na szczęście byłem za młody, by ewentualnie wchodzić w grę). „Wszyscy” żyliśmy w przekonaniu, że nowoczesność, jakby jej nie definiować, płynie z Zachodu; przypuszczam, że moczarowcy myśleli podobnie. Faktycznie, trudno było znaleźć na przykład znaczące wynalazki wychodzące z obszaru komunizmu. Sprawę trzeba jednak zniuansować. We wczesnym okresie Komintern miał radiostację chyba o największym zasięgu na świecie. Ten ustrój umiał skoncentrować wysiłki na sprawie, na której zależało jego elicie. Stasi było znakomicie wyposażone technicznie, a my możemy tylko się cieszyć, że SB gorzej. Natomiast faktem jest, że moczarowcy potrafili nowocześnie oddziaływać na opinię publiczną niż „zakonserwowany” Gomułka. Jeżeli moczaryzm szedł w kierunku populizmu, to ten był i jest dwukierunkowym wytworem społeczeństwa masowego. Przyjmuje nastawienie społeczeństwa, wzmacniając je i w ten sposób wiążąc je z elitą, a zarazem pozwalając elicie owym nastawieniem sterować. Autor słusznie zauważa, że „partyzanci” kultywowali tradycyjny w Polsce kult żołnierza, potępiali zaś obraz zarysowany przez Białoszewskiego. Posługiwali się prasą tworzoną bardziej dla ludzi niż, powiedzmy, „słuszna”, ale nieczytelna, „Trybuna Ludu”. *Barwy walki* i *Siedem polskich grzechów głównych* są książkami nadającymi się do czytania – w odróżnieniu od „socgramoty”. Podobnie plenerowe widowiska historyczne nadawały się do oglądania. Film o „czterech pancernych” był filmem z fundamentalnymi przemilczeniami, ale jednak szlagierem. Ciekawe jest w ogóle pamiętanie przez „partyzantów” o szerszej zmianie świata – o roli telewizji, filmu i seriali. Cenne, że Machcewicz podkreśla ową zmianę jako czynnik istotny dla biegu spraw (rola Wolnej Europy w rozpowszechnieniu wiadomości o „partyzantach”, ale też w kształtowaniu postawy społeczeństwa wobec nich!).

Oczywiście jest pytanie, jak mocno to wszystko trafiało do ludzi. Wspominany przez Autora Pomnik Partyzanta postawiony w Warszawie w 1962 był charakterystyczny – ale jednak, po pierwsze, był w pewnym sensie zbudowany zamiast wciąż wówczas brakującego pomnika Powstania Warszawskiego. Po drugie zaś, sam zapamiętałem określanie go potocznie jako „Pomnika ofiar reżimu” (matka trzyma postrzelonego syna na kolanach i wyraża pięć KC). Nie można jednak wykluczać, że ludzie jednak dostrzegali tendencje Moczara zgodnie z jego intencjami. Profesor Barbara Szacka – świadek historii, ale zarazem już wtedy specjalistka z zakresu pamięci historycznej – zapisała we wspomnianych wyżej wspomnieniach: „Pamiętam, jak w jednym z teatrów, działającym zgodnie z nowym, patriotycznym nurtem partyjnym, wystawiono przedstawienie będące inscenizacją piosenek z czasów wojny, głównie partyzanckich, dając mu tytuł jednej z nich: «Dziś do ciebie przyjść nie mogę». Ludzie tłumnie wypełnili widownię. Byłam na jednym z tych przedstawień. Pozostało mi w pamięci jako coś obrzydliwego, albowiem wystawione tandetnie inscenizacje odwoływały się do ludzkich uczuć w sposób tak cyniczny i prostacki, że dla mnie one były profanowaniem. Ale widzom, stęsknionym za patriotycznymi emocjami, tandetność przekazu nie przeszkadzała. Budziły się ich wojenne wspomnienia i oczy napępniały się łzami”⁴.

Może wielu chciało wierzyć w intencje Moczara i jego środowiska? Opowiadano mi, jak do wdowy po jakimś oficerze AK, ktoś z otoczenia Moczara przyniósł wydaną książeczkę o jej zmarłym (czy zabitym podczas wojny?) mężu – mówiąc: „Tyle teraz możemy zrobić”. Moczar nie tylko duchowo otwierał się na AK-owców itd., ale realnie wiele im dawał i to w niejednej sprawie poprzez ZBoWiD. Drobna osobista historyjka: starałem się w tych (z grubsza) czasach o kartę kombatancką dla Ojca, bowiem byłaby wygodna przy jego chorobie. Napotykałem trudności. Wszystko byłoby łatwiejsze, gdyby Ojciec i świadkowie jego postawy za okupacji byli członkami ZBoWiD-u.

⁴ B. Szacka, *op. cit.*, s. 325.

Ja pokonałem opory – ale iluż ludzi było społecznie słabszych i po prostu wstępowało do organizacji, a potem z wdzięcznością korzystało z pomocy?

Machcewicz pokazuje jak to „partyzanci” znacznie więcej myśleli o konkretnych ludziach niż na ogół myślano w komunizmie, w którym częściej mówiono o grupach społecznych i zbiorowościach (jeśli oczywiście pominąć organa represyjne, gdzie może – mówiąc złośliwie – elita moczarska właśnie nauczyła się myśleć o ludziach?). ZBoWiD był formą sprzyjającą kręgom znajomych, jakże potrzebną w systemie atomizującym społeczeństwo.

Moczar mógł wykorzystywać ciągłą frustrację ludzi. Jej stopień i powszechność są tematami w pewnych wymiarach specyficznymi dla komunizmu (ustrój rozbudzał nadzieje, likwidował poczucie, że ktoś ma więcej bowiem są po temu powody, jako ustrój „budowany” nie był przyjmowany za „naturalny”?). Sytuacje masowej frustracji sprzyjają zapotrzebowaniu na wodza i „swojaka”. Łatwo było zapomnieć prawdopodobne wczesne powiązania Moczara z wywiadem radzieckim (zwłaszcza że o tym przecież nie mówiono głośno) i jego funkcję szefa UB w Łodzi, czyli w wielkim mieście.

*

O niektórych cechach komunizmu, widocznych na przykładzie ruchu „partyzantów”, już wyżej wspominałem. Tu odnotuję dalsze, jakie mi się rzuciły w oczy przy czytaniu książki Machcewicza. Zdumiewająca jest rola literatury pięknej (lub pseudopięknej) z punktu widzenia tego ustroju – i w ogóle jego strach przed słowem czy przejmowanie się czyjąś postawą, choćby dany człowiek nie miał mocy decyzyjnej. Trudno zrozumieć referowanie przez Gomułkę – i to na posiedzeniu sekretarzy komitetów wojewódzkich oraz kierowników wydziałów KC! – wiadomości, jakoby młody wówczas Henryk Szlajfer zgłosił się na ochotnika do walki w szeregach Izraela. To wszystko przypomina religijne myślenie o grzechach, walkę z herezją, co jest koniecznością samą w sobie... Przecież mało jest ustrojów na świecie, w których pójście człowieka rządzącego na wystawę dzieł sztuki byłoby takim wydarzeniem politycznym jak wizyta Chruszczowa w Maneżu na wystawie sztuki nowoczesnej. Równie mało jest takich, w których rządzący, na najważniejszym zebraniu w państwie, rozmawiają o pewnym filozofie (opowiadano później w Warszawie, że jakiś amerykański humanista z wizytą w Warszawie powiedział Kołakowskiemu – oczywiście na spacerze, z daleka od słyszających ścian – że zazdrości mu, bowiem w USA prezydent nawet nie zna jego nazwiska). W sprawie badań ankietowych wypowiedział się sam Gomułka, a czołowy przedstawiciel partii rozpętywał dyskusję o „ankietomanii” – skądinąd później publikując książkę, za którą sam oberwał – bowiem książka, nawet nieszczerólnie dobra, stała się wydarzeniem politycznym. Mało jest ustrojów, w których „książka dotycząca historii, wydana w dodatku kilka lat wcześniej, była jednym z kluczowych wątków sporu politycznego i debaty publicznej, przyciągnęła uwagę najważniejszych *dramatis personae*” (s. 264–265; mowa o *Siedmiu polskich grzechach głównych*). Podobną obserwację można by sformułować wobec Dobrowolskiego *Głupia sprawa*. Janusz Zarzycki, skądinąd człowiek znaczący w historii polskiego komunizmu, ale wówczas już odepchnięty, po otrzymaniu tej ostatniej w formie daru autorskiego ponoć spakował wszystkie poprzednie dary Dobrowolskiego i odesłał mu je z listem „Zdarzyła się głupia sprawa. Nie mam więcej miejsca na półce”.

Mało jest ustrojów, w których historyczny film, jak *Popioły* Wajdy, wstrząsałby establishmentem. Podobnie mało takich, w których czołowe ośrodki władzy wypowiadałyby się o ujęciu Księstwa Warszawskiego przez pisarza (Żałuskiego) lub wstrzymywały książkę Artura Eisenbacha o równouprawnieniu Żydów w Królestwie Polskim (tę czyniły groźną nie tylko sprawy żydowskie i polskie, ale rosyjskie!). W większości krajów nawet spór o budżet nie wywołuje takich namiętności, jak w PRL hasło z encyklopedii. Wypadałoby domniemywać, że to był super intelektualny ustrój. Może dałoby się znaleźć podobne zjawiska w hitleryzmie. Wbrew dziś częstemu zestawianiu obu ustrojów widzę w nich wiele różnic – ale czasem widzę też podobieństwa. Widzę je także w postawie nielicznych wprawdzie, ale bardzo znaczących intelektualistów, którzy potrafili przeciwstawić się złowrogiej fali. Gdy – to już nie z lektury Machcewicza – Adamowi Rapackiemu, ministrowi spraw zagranicznych,

na fali „marcowej” podano listę pracowników do zwolnienia, podpisał ją – po dopisaniu własnego nazwiska. Profesor Michał Kalecki podał się w SGPiS-ie (dziś SGH) do dymisji, argumentując, że nie będzie prowadził dydaktyki przy akompaniamencie twierdzeń o „piątej kolumnie” (żydowskiej). Tadeusz Kotarbiński, jako przewodniczący Rady Encyklopedii PWN, skierował do członków Rady list, datowany 20 lutego 1969 r.: „Z przykrością przesyłam do wiadomości załączony tekst wstępu do dodruku pierwszego tomu Wielkiej Encyklopedii Powszechnej podpisany przez Dyрекcję Państwowego Wydawnictwa Naukowego. Ani Rada Naukowa Encyklopedii, ani jej przewodniczący nie brał udziału w formułowaniu wstępu, który zawiera wiele oznajmień spornych”⁵. Nawiasem: w owym wstępie, datowanym „we wrześniu 1968 r.”, pomieszczono uznanie krytyki hasła *Obozy koncentracyjne hitlerowskie* za „uzasadnioną”, oraz m.in. zdanie: „Przed Państwowym Wydawnictwem Naukowym stoją więc zadania przewyższenia tych błędów, pełnej i konsekwentnej realizacji wytycznych naszej Partii, Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej”.

*

Bardzo ważną dla uogólnionych analiz komunizmu jest obficie rozważana przez Autora kwestia internacjonalizmu – nacjonalizmu – patriotyzmu – instrumentalnego podchodzenia do haseł patriotycznych. To jest gigantyczna sprawa. Przecież komunizm był internacjonalistyczny może w pokoleniu Róży Luksemburg, a potem już tylko w słowach „Proletariusze wszystkich krajów...”, pomieszczanych w winietach gazet. To był bardzo nacjonalistyczny system – czego konsekwencje widzimy jeszcze dziś w działaniach Putina. Z komunizmu pozostało w Rosji przekształcone KGB plus nacjonalizm.

Nawet represje stalinowskie były w znacznej części prowadzone według klucza narodowościowego, a Stalin posługiwał się niektórymi narodowościami przeciw innym (Żydami w Polsce, Rosjanami w nierosyjskich republikach ZSRR...). W jakimś okresie SB wychwytywała casusy kolaboracji żydowskiej podczas wojny intensywniej niż polskiej, PRL realizowała koncepcję Polski jako kraju jednonarodowego (prawda, że „ułatwili” to hitlerowcy). Ubeckie i esbeckie rozpracowywanie mniejszości, potraktowanie Ukraińców w akcji „Wisła”... też nieźle charakteryzowały komunistyczne „kierownictwo” (tak wtedy mówiono o „ludowych” władzach). Na bankiecie zwycięstwa, w 1945 r. na Kremlu, Stalin słaWił naród rosyjski.

Autor widzi narodowy lub nacjonalistyczny akcent w ruchu komunistycznym, w tym w krajach, których komunistyczni kierownicy uczynili ów akcent lejtmotywem (Rumunia). Dostrzega go wręcz w NRD, dumnej – dodam od siebie – z grobu Goethego w Weimarze. Bywało, że złością ludzi sterowano w kierunku mniejszości narodowych gdy nasilały się jakieś kłopoty, choćby gospodarcze. Oczywiście było to wszystko przynajmniej połączone z instrumentalizmem. Stalin słaWił naród rosyjski z akcentem nacjonalistycznym choć (a może tym bardziej że?) sam był Gruzinem. Moczarowcy byli nacjonalistami polskimi, w wypadku Żydów często przypominali ich pierwotne nazwiska, a nie wspomiano, że Moczar też urodził się pod innym nazwiskiem. Można jednak dyskutować, czy ten nacjonalizm był wyłącznie instrumentalny, czy wyrażał też własne przekonania nadawców. Znajomy o bogatym doświadczeniu opozycyjnym opowiadał mi, że tylko raz widział zapał w oczach przesłuchującego go esbeka – w 1968 r., gdy ten zaczął mu wymawiać żydowskość. Generał Jaruzelski, przyjmując grupę intelektualistów wkrótce po wprowadzeniu stanu wojennego, na swoim, jak zwykle uporządkowanym biurku, miał książkę o 1926 r. (podejrzewam, że autorstwa Andrzeja Garlickiego). Czy tylko po to, by goście ją dostrzegli? W fundamentalnym przemówieniu w 1981 r. ledwo zająknął się o komunizmie. Ta kadra, która w swej masie już chyba od dawna w żadną ideologię nie wierzyła, nagle mogła znów w coś wierzyć.

Rozważanie akcentu narodowego „partyzantów” szybko prowadzi do kwestii kompleksów narodowych, paradoksalnie (przynajmniej paradoksalnie na pierwszy rzut oka) przejmowanych przez

⁵ W zbiorach prywatnych.

komunizm. Machcewicz widzi je. Z kolei kompleksy narodowe łatwo prowadzą do akcentowania dumy narodowej – a potem już można tylko dyskutować co było przyczyną, a co skutkiem. Prowadzą do pytania, czy kompleksy nie wyrosły z nadmiernych ambicji... w sumie można dyskutować o pierwszeństwie jaja i kury.

Kwestia akcentu narodowego w wydaniu komunistów prowadzi też do zagadnienia miejsca PZPR w życiu PRL. Każdy powie, że Partia (zawsze przez duże „P”) zajmowała miejsce centralne. No tak, ale trzeba spojrzeć, jak sama partia ewoluowała, jaka była relacja pomiędzy „partią wewnętrzną” (Orwell), a coraz liczniejszymi dołami partyjnymi. Nadzwyczajnie ciekawa jest rola awansu społecznego – zarówno tego, do którego system przy wszystkich swoich ułomnościach doprowadzał w życiu poszczególnych grup społecznych, jak, co było jego częścią, awansu poprzez kanały partii, UB/SB, wojska itd. Przykładem wspinania się taką drabiną mogą być gen. Szlachcic, również Ryszard Gontarz czy sam gen. Moczar. Ciekawa jest sprawa zatkania się kanałów awansu – co było jedną z przyczyn omawianej przez Autora chęci wyrzucenia starych komunistów.

Zjawisko wymiany elity wystąpiło w wielu partiach komunistycznych z grubsza w drugim pokoleniu po wzięciu władzy (wielka czystka w Rosji, rewolucja kulturalna w Chinach, w PRL „Marzec”...). Z biegiem czasu te partie coraz mniej przypominały parareligijny zakon, a w coraz większym stopniu partie władzy. Ważna była władza, nie ideologia. Miał sukcesy ten, kto chciał przyciągnąć ludzi wyrosłych na różnej glebie politycznej (Moczar!) i młodych, wyrastających już w komunizmie. Dogmat o jedności partii wciąż obowiązywał – ale nominalnie. Z różnych przyczyn wpraw kamuflowane podziały w partii stawały się aktywne (w Rumunii pomiędzy grupami, które siedziały w różnych więzieniach przedkomunistycznych, w Polsce między tymi z ZSRR, często naznaczonych pochodzeniem żydowskim, oraz localsami. Przynajmniej w PZPR zarysowały się grupy kumpłowskie (jak w Polsce stowarzyszenie absolwentów uczelni radzieckich). Pewno wszędzie zaistniały stosunki klientelistyczne w strukturach partyjnych oraz w instytucjach. We wroście masowości partii (Machcewicz notabene ciekawie pisze o składzie społecznym tej fali wzrostowej) było zakodowane jej rozmiękczenie i upodobnienie do przeciętnych narodowych. W czasie badanym przez Machcewicza ci ludzie mieli Gomułki po prostu dość, a w latach osiemdziesiątych nastąpiła nie tylko eksplozja gniewu Polaków, ale też implozja systemu.

Coraz większa dominacja ludzi przypominających większość narodu, ich chęć awansu, niechęć do stojących wysoko urzędników (funkcjonariuszy) pochodzenia żydowskiego, łączyła się ze znanym zjawiskiem lepszego tolerowania mniejszości narodowych siedzących na dole drabiny hierarchicznej niż takich, które się wspinają. Nie dostrzegano oczywiście, że znalezienie się wielu ludzi żydowskiego pochodzenia wysoko lub relatywnie wyżej wynikało nie tylko z instalacji komunizmu, ale w licznych wypadkach z tego, kto z nich miał większe szanse przeżycia wojny i pozostania w Polsce (inteligenci, lepiej wykształceni, już od dawna lepiej usytuowani społecznie). W powoływanych przez Machcewicza materiałach ludzie skarżyli się, że Żydzi mają lepiej. Propaganda zagrała nutę „bananowych dzieci”. Gazety opowiadały o tych „dzieciach”, którym plecaki podczas wycieczki w Bieszczadach nosił na grzbiecie kupiony czy wynajęty osiołek, a jakaś dziewczyna spośród nich „gasila papierosy w dzemie” (dowód nieliczenia się z pieniędzmi na jedzenie!). Moczar, w przemówieniu na Uniwersytecie Warszawskim, zagrał nutą, że dzieci żydowskie zawsze dostają się na uczelnie. Moczar i Szlachcic byli dumni z awansu, starali się nawiązywać kontakty z intelektualistami (a Jan Szczepański, zaproszony przez Moczara do domu na obiad, scharakteryzował go w swoim dzienniku jako klasycznego nuworysza – co mu zresztą nie przeszkodziło w dalszym utrzymywaniu kontaktów⁶). Było to tym ciekawsze, że „marzec” był przecież antyintelektualny (pogrom Uniwersytetu Warszawskiego i nie tylko tej uczelni, na SGPiS-ie uderzenie wyraźnie w mądrzejszych...). Wspomnienie osobiste: Franciszek Szlachcic, już po „zepchnięciu go” do Urzędu Miar i Wag, zatelefonował do mego ojca z gratulacjami z powodu książki *Miary i ludzie*. Przypadkowo

⁶ J. Szczepański, *Dzienniki z lat 1945–1968*, oprac. D. Kadłubiec, Ustroń 2013, s. 158.

to ja podniosłem słuchawkę i gdy usłyszałem „Mówi Franciszek Szlachcic”, pomyślałem, że ktoś się wygłupia. To nie było jednak wygłupianie się, potem przysłał kwiaty. Bierut też był czuły na kontakty z intelektualistami, za Bieruta też pomagano twórcom życiowo, ale inaczej; w wypadku elity moczarowskiej bardziej przyjmowano postawę „za pan brat”. Nie da się tego oczywiście powiedzieć o Gomułce, którego przeciwwagą chcieli być moczarowcy.

*

Od zagadnienia akcentowania wątku narodowego łatwo przejść do kwestii wymiany pokoleniowej w komunizmie. Dziś często powtarza się, że był to system obcy narodowi. Tymczasem czy to „zaciąg stalinowski” w Rosji, czy, po latach, moczaryzm w Polsce, były w ogromnym stopniu produktem „ludu pracującego miast i wsi” (sformułowanie Konstytucji 1952 r.). W prawdziwość intencji organizatorów defilady idącego ze wschodu Wojska Polskiego w Lublinie, akurat 11 listopada 1944 r., wielu nie wierzyło. W ofensywę „partyzantów” wielu uwierzyło. Machcewicz ciekawie pokazuje, jak komunizm budował poczucie obcości „innych”, zakorzeniał sprzeciw wobec starych komunistów, zwłaszcza żydowskiego pochodzenia, w tożsamości narodowej, w odmiennej, tradycyjnej wersji historii. Nawiązanie „partyzantów” do tradycji niepodległościowej było bardziej przekonujące niż Bieruta czy Gomułki, który ostatecznie dramatycznie przekreślił swoje porozumienie z narodem. Może sami „partyzanci” bardziej wierzyli w swoje działania, podczas gdy na przykład nasilenie swego czasu demonstracji patriotycznych w Lublinie elita komunistyczna, która je organizowała, zapewne traktowała instrumentalnie. Nie wiem, czy Rokossowski, mówiąc, że należy przesiać Żydów, ponieważ „przecież powinniśmy się liczyć i z poczuciem własnej godności narodu polskiego” (s. 287), był posłuszny stalinowskiej walce z „kosmopolityzmem”, czy przynajmniej dokładał własne przekonanie – ale wątpię, czy mu to zyskiwało poparcie. To był nieustający problem komunizmu: z jednej strony uważał się i przedstawiał jako emanacja ludu, a z drugiej był mocno przekonany, że ludem trzeba kierować. Może „partyzanci” rozwiązali ten problem? (s. 371: „Próba budowania szerokiego zaplecza społecznego przy pomocy antysemityzmu okaże się jednym z najważniejszych wymiarów Marca '68”).

Sprawa jest trudna – choćby gdy wspomni się liczebność manifestacji studenckich, przecież nie optujących za „partyzantami”. Sam pamiętam epizod, który już wielokrotnie powoływałem przy różnych okazjach – z ówczesnego SGPiS-u, gdzie byłem wtedy doktorantem. Masie tamtejszych pracowników i studentów zakomunikowano wtedy, że wydarzenia, jakie przeżywamy, nie pozostawały jakoby bez związku z „konferencją rabinów”, odbytą w zeszłym roku w Jerozolimie. Cała ta masa ludzi wybuchnęła śmiechem z absurdu. Nie podzielałem jednak zdania Antoniego Libery, iż „trzeba w kółko i zdecydowanie powtarzać, że za Marzec odpowiedzialna jest PZPR sterowana z Moskwy, a nie polskie społeczeństwo, które w tę okropną historię zostało wmanewrowane”⁷. Przy wszystkim, co oczywiste na temat związków PZPR z Moskwą, roli aparatu partii rządzącej i przekonania, że skoro Moczar pełnił funkcje, jakie pełnił, to musiał mieć swoje kontakty z radzieckim establishmentem, owo zdanie jest jednostronne. Moskwa nie paliła się do popierania nacjonalizmów w krajach demokracji ludowej, nawet jeśli antysemityzm nie był jej w dziejach obcy – by to powiedzieć delikatnie.

Jednym z istotnych stwierdzeń jest w książce konstatacja: „Na pewno nie jest uzasadnione przedstawianie «kampanii antysyjonistycznej» jako w całości narzuconej odgórnie przez rządzących. Zresztą dychotomiczny podział na władzę i społeczeństwo nie jest możliwy do obrony na gruncie szczegółowych badań postaw i zachowań społecznych w Polsce Ludowej, zwłaszcza w odniesieniu do okresu, gdy władza komunistyczna już na różne sposoby głęboko społecznie się zakorzeniła i była szeroko akceptowana, a w każdym razie przyjmowana jako trwała i bezalternatywna” (s. 415).

⁷ A. Nowak, *Kto pisze naszą historię. Rozmowy polskie wiosną XXI w.*, Kraków 2024, s. 216 (rozdział: „Historia uczy zwątpienia. Rozmowa z Antonim Liberą”).

I dalej Machcewicz: „Moczar niewątpliwie zbudował dla swojego ruchu szerokie zaplecze społeczne, a także osiągnął osobistą popularność, choć cały czas pozostawał członkiem komunistycznej elity władzy” (s. 507).

Wróćmy jeszcze raz do Barbary Szackiej, która w kontekście podobnych rozważań powołuje casus znajomego, który przeszedł szlak bojowy z armią Andersa, potem żył na Zachodzie, wrócił do Polski, gdzie miał kłopoty, z których się wykaraskał. Autorka przypuszcza, że wstąpił do partii, w swoim średniej wielkości mieście został prezesem PSS „Społem”. „Korzystając ze wszystkich apanaży zajmowanego stanowiska, nie dostrzegając, że należy do uprzywilejowanej części ówczesnego społeczeństwa. We własnych (oraz żony) oczach był wciąż prześladowanym przez sowieckie władze lwowiakiem, sybirakiem i żołnierzem Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Partyjne otoczenie, w którym się obracał i którego był częścią, darzył umiejętnie skrywaną pogardą. Świadczy o niej powiedzenie do żony po powrocie z jakiegoś spotkania partyjnych władz miasta: «Przygotuj coś, bo zaprosiłem to było na kolację»⁸.

Sam poszedłbym jeszcze dalej niż prof. Szacka. „Oni” mogli być nazywani „onymi” – ale wcale niekoniecznie „bydłem”. „Onymi” zresztą wcale nie tak powszechnie, jak to wydawało się wielu z nas w drugiej połowie 1980 r. Jeżeli policzyć samych ludzi bliżej czy dalej związanych z partią oraz aparatem władzy (w znaczącym stopniu wraz z rodzinami), to wyjdzie niemała część współobywateli. Oczywiście, że rozsypało się to wszystko zaskakująco szybko – czego dojrzwianie widać właśnie u Machcewicza, w całej pokazywanej przezeń grze, której dałbym tytuł „Wicie-rozumicie”.

Rozpowszechnienie wizji podziału „my-oni” byłoby samoistnie warte interpretacji. Tym razem to nie byt determinował świadomość, ale – wbrew Marksowi – świadomość była znaczącym składnikiem realiów. Przetrawiała nie tylko w mniej lub bardziej uczonych, dzisiejszych rozważaniach o historii, ale w wybiórczym przypisywaniu się do tradycji. Nieraz zatrzymuje się w niej dzieła związane z PRL-em, które są mile sercu – ale bez „pieczątki” PRL. Obchodzi się rocznicę odbudowy Zamku w Warszawie jako działania wręcz przeciw komunizmowi, zapominając o osobie Józefa Kępy – skądinąd sekretarza Komitetu Warszawskiego i „marcowca” – który doprowadził do podjęcia niezbędnej decyzji. Pamięta się o polskim kosmonaucie – zapominając, że poleciał radziecką raketą i był członkiem WRON (potem mówił, że nie chciał, lub podobnie). Akcję „Wisła”, choć była klasycznym działaniem stalinowskim, niejedna osoba wciąż uważa za zasadną. No i „Marzec” nieraz widzi się jako produkt jedynie komunistyczny.

*

Poparcie dla moczarysty mogło płynąć z potrzeby czegoś nowego, a przynajmniej czegoś, co wydawało się nowe. Wizja świetlanej przyszłości komunizmu – niezależnie od tego, do jakiej części społeczeństwa w swoim czasie przemawiała – wówczas już zbankrutowała. Ciekawe zresztą, że później Gierek też nie grał na niej. Machcewicz ciekawie pokazuje, jak propaganda ZBoWiD-u była eklektyczna i, tym samym, inna od dotychczas dominującej. Taka potrzeba nowości, szerokiej odmiany sytuacji dotychczasowej, nieraz występowała w dziejach. Podobny był kiedyś jeden z motywów poparcia w różnych krajach dla faszyzmu. Oczywiście sprawa stosunków z ludźmi pochodzenia żydowskiego bądź definiujących się samymi jako Żydzi stanowiła jedną z takich szerszych spraw, wkomponowanych zarówno w bieg czasu, jak w dzieje komunizmu i nie tylko komunizmu. Machcewicz nawiązuje do sprawy antysemityzmu w ZSRR, jak również do wielu spraw radziecko podobnych w PRL. Podkreśla jednak, że nie ma żadnych danych, iżby impuls kampanii 1968 r. przyszedł z Moskwy, ani by tamtejsze wzory inspirowały przyjęty dyskurs. Twierdzi, iż esbecka propaganda z 1968 r. nawiązywała do międzywojennego, a nawet dawniej zakorzenionego *imaginarium* Żyda. Niektóre podobieństwa do ZSRR widać wprawdzie wyraźnie – jak sięganie przez SB do

⁸ *Ibidem*, s. 335.

Protokołów mędrców Syjonu czy jak pomysł, że Żydzi chcieli oderwać od Polski Śląsk (w ZSRR jakoby chcieli oderwać Krym), czy jak sama koncepcja „antysyjonizmu”, bądź jak wstrzymywanie jakiegoś tekstu już swego czasu wydanego (w ZSRR zamykano dostęp do dawnych roczników „Prawdy”!). Można jednak dyskutować, czy takie pomysły są inspirowane przykładem, wręcz kopiowane, czy rodzą się na kamieniu (są po prostu podobne). Znaczenie miała pewno też polityka ZSRR wobec Izraela. Inspiracje mogły wszakże płynąć z różnych kierunków. Zrobiło na mnie wrażenie, o czym dowiedziałem się dopiero od Machcewicza, że w filmie Janusza Kidawy i Ryszarda Gontarza *Sprawiedliwi* wykorzystano nazistowskie filmy propagandowe.

Całą sprawę „marcowego” antysemityzmu można oczywiście rozszerzyć na kwestię potrzeby „obcego”, definiowania go, także na kwestię pojęcia „żydokomuny”. Machcewicz widzi, rzecz jasna, iż nawet duża liczba Żydów (Polaków pochodzenia żydowskiego) na widocznych miejscach w instancjach partyjnych była małym ułamkiem populacji żydowskiej – ale bywa, że ludzie myślą inaczej. Trudno mi zapomnieć, jak to kiedyś polemizowano ze mną jakoby znaczący był udział Żydów w zapanowaniu komunizmu w Chinach.

Ogólnych spraw, w wypadku których książka przynosi użyteczne elementy refleksji, można wskazać więcej – jak na przykład zjawiska populizmu, kompensacji, roli historii jako alfabetu dla wyrażania współczesnych treści, mówienia o historii jako kamuflażu dla wypowiedzi o teraźniejszości. Wciąż – i w wielu krajach – pojawiają się zamrożone sprawy II wojny – co pozwala powiądać bieżącą, toczoną rozgrywkę polityczną z pamięcią II wojny. Wtedy takie podejście pozwoliło „partyzantom” połączyć Żydów z RFN (wówczas w tutejszej wykładni: „NRF”) – z korzyścią dla pożądaną przez władze niechęci wobec jednych i drugich. Podstawowym narzędziem działania w takim kierunku stała się książka Walichnowskiego o zdumiewająco dużym rezonansie. Bardzo ciekawe są sprawy wchodzące w znacznie szerszą kwestię stosunku ludzi do komunizmu i realnego w nim funkcjonowania. Dziś zdumiewająco dużo ludzi twierdzi, że byli przeciw itd. Tymczasem, wśród spraw poruszonych w książce, można zrozumieć zgodę Jana Mazurkiewicza „Radosława” na objęcie stanowiska wiceprezesa ZBoWiD-u. Prawda, że w tym kierunku można było zejść kompromitująco daleko. ZBoWiD był dziwną organizacją, w której znaleźli się AK-owcy i „zasłużeni w walce o utrwalenie władzy ludowej”. Komunizm zdawał się wszakże wieczny, a więc lepiej było poprzeć bliższy sobie i swemu środowisku kierunek – nie mówiąc nawet o praktycznych sprawach, istotnych dla jakże wielu kombatanatów, także o sprawach z pogranicza praktycznych i symbolicznych (uznanie służby i stopni wojskowych). Do końca świata pozostanie pytanie, kto wybrał lepszą drogę – czy ci, którzy się trzymali z daleka, czy ci, którzy coś usiłowali zrobić. Czy Wańkowicz, który wrócił i naraził się na wiele ograniczeń, a nawet kłopotów – czy ludzie, którzy trwali na emigracji? Czy sensowną rolę odegrali historycy, którzy tu żyli i pracowali – milcząc o pewnych tematach? To wszystko rozstrzygnie się dopiero na ewentualnym Sądzie Ostatecznym.

*

Bardzo ciekawa jest aktualność książki, w której widać masę haseł z badanych czasów, podnoszonych także dziś. Nie wynika to ze szczególnej chęci wylapywania ich przez Machcewicza – nawet jeśli, zasadnie, zauważa ich trwałość. To raczej nasuwająca się przy lekturze w wielu punktach kwestia długiego trwania, jak w wypadku wspomnianych wyżej kompleksów narodowych i poczucia niedowartościowania – co jest samoistnym ciekawym tematem (s. 268: „*Z Siedmiu polskich grzechów głównych*”, podobnie jak z dyskusji wokół filmu Wajdy i sztuki Mrożka, wyłania się swego rodzaju matryca ideowa. Przetrawa upadek komunizmu i jest żywa do dzisiaj: polega na piętnowaniu tych, którzy krytycznie interpretują poszczególne elementy tradycji narodowej. Załuski w polemicznej pasji pisał o «szydercach», «apostołach reedukacji antybohaterskiej», tych, którzy mają «nihilistyczny stosunek do przeszłości», «pogardzają własnym narodem», «wstydzą się własnej ojczyzny», «obrzydzą Polskę i polskość». Podobne struktury myślowe i argumenty pojawiają się współcześnie w oskarżeniach o uprawianie «pedagogiki hańby» i «pedagogiki wstydu», formułowanych wobec

części polskich historyków, mediów, środowisk opiniotwórczych. Wiele sporów ideowych z okresu komunizmu nie wygasło wraz z końcem jego epoki, są częścią «długiego trwania» polskości”).

Książka jest bardzo ważna dla zagadnienia funkcjonowania pamięci, także wiedzy o historii w życiu społecznym. Można bez końca dyskutować, czy nienawiść elity PiS-u do Niemców, jak w swoim czasie Gomułka do Niemców, była i jest zinternalizowaną nienawiścią, czy w obu wypadkach instrumentalizacją historii. Może być zresztą jednym i drugim. Teraz woła się o potrzebie obrony honoru narodu, woła się przeciw szkalowaniu go zarzutami złych zachowań w sprawie żydowskiej, rozbija się mikrofon podczas wykładu prof. Grabowskiego w Niemieckim Instytucie Historycznym – podobnie jak moczarowcy deklarowali się jako walczący z „dyfamacją narodu”. Zdanie Marii Dąbrowskiej z 1963 r., na które Machcewicz zwraca uwagę, o „głodzie apologii przeszłości” pasowałoby do dziś w odniesieniu do wielu kręgów. Gombrowicza wtedy nie lubiano nie tylko za jego przebywanie na emigracji, a niedawno też, jeśli dobrze pamiętam, usuwano go ze szkolnych lektur. Pamiętam jakiś PRL-owski program nauczania historii, gdzie Holokaust był wzmiankowany wyłącznie jako punkt o pomocy społeczeństwa polskiego dla Żydów. Gdy czyta się u Machcewicza, że cenzura sprzeciwiała się nawet informacjom o postawie policji granatowej przeciw Żydom, której skądinąd PRL przecież nie lubiła, czy usuwała wzmianki o antysemityzmie w II Rzeczypospolitej, to nasuwa się na myśl wystawa w galerii Instytutu Pileckiego „Zawołani po imieniu”. Oglądałem ją w marcu 2023 r. Byli tam tylko ludzie udzielający Żydom pomocy podczas okupacji. Zbyteczne dodawać, że jestem gotów głęboko skłonić się w pamięci ich postawy. Nie było tam jednak wspomnienia żadnego odmiennego faktu – i w tym widzę długie trwanie pokazywania tylko jednej strony medalu – czego historyk nie powinien akceptować. Powołana przez Machcewicza wypowiedź Andrzeja Wasilkowskiego przeciw Wajdzie – że jakoby znęca się nad mitem narodowym, podczas gdy Anglicy i Francuzi nie piszą nic o własnym okrucieństwie kolonialnym, mogłaby ukazać się dziś – podobnie jak zdania z opracowania MSW z początku 1966 r., że Polaków oskarża się o współdziałanie z okupantami w Holokauście, a przemilcza się polskie zasługi.

Dyskurs „partyzantów” był w istocie podobny do słów o „Hunach kultury”, które w listopadzie 2024 r. padły z ekranu telewizora przeciw Machcewiczowi. Jeżeli odwoływać się do tak wymyślnych określeń, to sam nazwę go „wirtuozem historiografii”.

Marcin Kula

Melissa Feinberg, *Communism in Eastern Europe*, Routledge, New York–Abingdon 2022, ss. X + 229

Na okładce recenzowanej książki wymowne czarno-białe zdjęcie: na nim samochód trabant 601 z rejestracją Niemieckiej Republiki Demokratycznej, z osobliwą konstrukcją na dachu – rozstawanym namiotem z materacem i siedzącym w wejściu wyraźnie zadowolonym właścicielem. Oto mały, ciasny, ale własny domek na kółkach – dostatek na miarę Europy Wschodniej. Za takim wyborem ikonografii nie stała intencja ośmieszenia kogokolwiek, lecz chęć pokazania, jak zaspokajano aspiracje konsumpcyjne ludzi żyjących w ramach realnego socjalizmu. Ustroju, którego oni zwykle sobie nie wybierali, ale w którym dawało się żyć.

Nie mamy do czynienia z pierwszą książką Melissy Feinberg o naszej części kontynentu. Amerykańska badaczka związana ze uniwersytetem stanowym Rutgersa (New Brunswick w stanie Nowy Jork) napisała już pracę z zakresu historii kobiet¹. Jej podstawę źródłową tworzyły akta Narodowej Rady Kobiet Czechosłowacji, a tematem były dążenia do równouprawnienia od schyłku monarchii habsburskiej do stalinizmu. Feinberg podjęła się więc zbadania zagadnienia ważnego, bo wpływającego na ogląd całościowy postępowej w swych założeniach I Republiki. Jedną z opisywanych postaci była aktywistka Rady Milada Horáková (czynna następnie w antyniemieckim ruchu oporu, u progu stalinizmu postawiona przed sąd i stracona w procesie pokazowym w 1950 r.). Kolejna książka Feinberg opierała się na wywiadach z uciekinierami z Europy Środkowo-Wschodniej, przeprowadzanych przez pracowników rozgłośni Radio Wolna Europa i Głos Ameryki². Zebrane tak relacje zwykłych ludzi ukazywały świat kłamstw i strachu, Autorka zaś starała się ocenić postawy ludzkie, stopień uległości i gotowość do buntu społeczeństw zniewolonych komunizmem. Podważała przy tym umiejętnie paradygmat totalitaryzmu, oferując własną interpretację pierwszych lat zimnej wojny.

Communism in Eastern Europe to dzieło niewielkie objętościowo, ale poważne. Autorskim zamiarem było pokazanie tendencji rozwojowych, widocznych w różnych krajach regionu. Przewadzenie narracji o wielu państwach naraz to wyzwanie, ale Feinberg mu podołała. Partie dotyczące zjawisk generalnych i procesów ponadnarodowych ilustrowane są historiami jednostek, które doświadczały komunizmu na własnej skórze. Nie jest to metoda nowa ani odkrywczą, ale umiejętnie zastosowana – daje efekty.

Autorka przekonuje, że socjalizm był światem niekoniecznie swojskim, ale oswojonym na różne sposoby przez „wschodnich Europejczyków” (*Eastern Europeans*)³. Są oni swego rodzaju zbiorowym protagonistą tej opowieści, albowiem amerykańska historyk sądzi, że życie w podobnych warunkach ustrojowych stworzyło z nich naprawdę jeden podmiot historyczny. Feinberg, jak sama deklaruje, chciała napisać książkę o tym, co to znaczyło żyć w komunistycznym społeczeństwie, łączącą historię polityczną z historią społeczną, kulturową i zagadnieniami płci kulturowej (s. IX). Terminem „Europa Wschodnia” obejmuje kraje bloku wschodniego (z Albanią i Jugosławią), lecz bez Związku Radzieckiego. A rozciągając narrację aż do początku trzeciej dekady XXI w., chce pokazać, że demokracja i wolność nie mogą być jeszcze gwarantowane w tej części świata, mimo jednoznacznego zwycięstwa nad komunizmem (s. X). Nie wyczuwamy w tym wszystkim poczucia wyższości badaczki przychodzącej z lepszego świata i z *Schadenfreude* konstatuującej, że Europa Wschodnia ma jeszcze cywilizacyjny dystans do Zachodu do pokonania.

Swoją koncepcję książki Autorka rozwija we wprowadzeniu („The Communist World in Eastern Europe”, s. 1–7). Komunizm jest jej zdaniem w upraszczający sposób porównywany do tyranii, w której wszechpotężne państwo opiera się na strachu, a społeczeństwo jest bezbronne wobec władzy.

¹ M. Feinberg, *Elusive Equality. Gender, Citizenship, and the Limits of Democracy in Czechoslovakia, 1918–1950*, Pittsburgh 2006 (Pitt series in Russian and East European studies).

² M. Feinberg, *Curtain of Lies. The Battle over Truth in Stalinist Eastern Europe*, Oxford 2017.

³ Terminy „socjalizm” i „komunizm” świadomie stosuje ona wymiennie.

Oczywiście, przyznaje, że reżimy komunistyczne były dyktaturami. „W komunizmie wschodni Europejczycy nie mieli tych samych politycznych wolności co ludzie w społeczeństwach demokratycznych, lecz mimo tego czuli się uprawnieni do stawiania żądań przywódcom i ci byli zmuszeni brać te żądania na poważnie. W komunizmie większość ludzi nie przeżyła całego swego życia w strachu” – stwierdza badaczka (s. 3)⁴. Komunizm to świat pełen paradoksów, dodaje. Cenzurował książki, lecz zwalczył analfabetyzm, zamykał ludzi w więzieniach, lecz jednocześnie „dał kobietom prawną pozycję równą mężczyznom i dostęp do wielu nowych karier”, był światem, gdzie trudno było kupić banany, lecz „przeciętni ludzie mieli więcej do jedzenia niż kiedykolwiek przedtem” (s. 3). Feinberg programowo odżegnuje się od stereotypów kulturowych na temat Wschodu i Zachodu Europy (s. 6), skupia się na tym, co łączy kraje naszej części kontynentu. Daje wyraz przekonaniu, że komunizm w jakimś stopniu ujedynolcił je i upodobnił do siebie.

Rozdział pierwszy („The Communism Comes to Eastern Europe”, s. 8–36) opisuje rozpad imperiów w 1918 r., okres międzywojenny (w tym odwrót od demokracji poprzez zamachy stanu) i losy regionu w czasie II wojny światowej. Autorka rozwodzi się na temat różnic między okupowanymi przez hitlerowskie Niemcy krajami (np. w poziomie terroru między Generalnym Gubernatorstwem a Protektoratem Czech i Moraw), nie zapomina przy tym o dolegliwościach okupacji ziem wschodnich II Rzeczypospolitej przez ZSRR. Podaje liczby represjonowanych, deportowanych i poddanych egzekucji (także ofiar Katynia). Zgodnie ze swą deklarowaną we wstępie metodą wiele zjawisk ilustruje relacjami świadków. Na przykład rabunek na Żydach w Szczepieszynie – zapiśkiem lekarza Zygmunta Klukowskiego z jego dziennika, trudności zaś w szukaniu schronienia w okupowanej Pradze – świadectwem Hedy Margoliovej-Koválovej, znanej tłumaczki pochodzenia żydowskiego. Słowa pisarki Marii Dąbrowskiej oddaje zaś wrażenia z oglądu Wrocławia, zajętego przez wykorzenionych ze Wschodu Polaków. Nie brak wzmianki o powstaniu warszawskim, masakrze mieszkańców Woli, oblężeniu Budapesztu i zbrodniach Armii Czerwonej (wspomnienia Węgierki Alaine Polcz).

Po 1945 r. Europa Wschodnia zmieniła się głęboko, pisze Feinberg. Stała się bardziej „etnicznie jednorodna niż kiedykolwiek wcześniej. Mniejszości narodowe istniały, lecz ich liczebność została bardzo zredukowana. Marzenia, które mieli kiedyś nacjonaliści o stworzeniu państw służących interesowi jednego narodu [...] stały się bliższe realizacji, lecz za cenę wyjątkowo krwawej wojny, ludobójstwa i przymusowej wymiany ludności” (s. 25). Autorka przekonuje nas, że w tej części kontynentu po pokonaniu III Rzeszy panował generalny konsensus co do zwiększenia roli państwa w gospodarce i redukcji nierówności ekonomicznych. Oznaczało to wzrost popularności tutejszych partii komunistycznych, niosących „wizję nowego społeczeństwa opartego na sprawiedliwości społecznej”; szeregi partii wzrosły liczebnie (Autorka podaje tu dane dla Węgier, Rumunii, Czechosłowacji, s. 29). Polskę – można powiedzieć – oszczędza, ale przecież Polska Partia Robotnicza, szermująca podobnymi hasłami programowymi (nacjonalizacji, reformy rolnej, demokratyzacji), po wyzwoleniu również rozbudowała znacząco swą bazę członkowską, stając się już w 1945 r. partią autentycznie masową. Opisując z konieczności przemiany polityczne, Autorka podkreśla stopniowe dochodzenie komunistów do pełnej i niepodzielnej władzy. Rządziej działało się to *manu militari*, częściej przez „kombinację strachu, zastraszenia i oszustwa wyborczego” (s. 32).

Rozdział kolejny („Creating a Stalinist Society”, s. 37–64) opisuje zjawiska doskonale znane badaczom (narodowa droga do socjalizmu w Jugosławii, ujedynolicenie stalinowskiej kultury, upowszechnienie kultu przywódców komunistycznych, także zmarłych, jak Klement Gottwald i Georgi Dymitrow), wszelako w sposób, który nazwałbym wyważonym. Przyjęcie wizji socjalizmu ilustrowane jest tu m.in. wspomnieniem znanego socjologa czeskiego Antonína Liehma o wyjściu „z mroków nazizmu prosto do słonecznej krainy wolności, przyjaźni, szczęścia, *tout court* – socjalizmu” (s. 41), ale zarazem skontrastowane ze świadectwem bułgarskiego aptekarza, który poparcie dla

⁴ Tu i dalej – wszystkie cytaty w moim przekładzie.

komunizmu interpretował jako udawane, wymuszone strachem, nieautentyczne. Wszelako Autorka dystansuje się od tej „falszywej dychotomii”, gdyż reprodukuje ona tylko „zimnowojenne podziały ideologiczne”. Rzeczywistość bowiem była „bardziej skomplikowana” (s. 46). Feinberg referuje dalej osobliwości stalinowskiej ekonomii, zwłaszcza przyspieszonej industrializacji i współzawodnictwa pracy oraz kolektywizacji z odwołaniem do pracy m.in. Katherine Lebow o Nowej Hucie. Znalazło się tu miejsce i na wspomnienie węgierskiego górnika, przodownika pracy Barnabása Vargi, i na cytata z rumuńskiej pieśni masowej o zaletach życia w spółdzielni produkcyjnej. Syntetycznie Autorka referuje zjawisko szpiegomanii, atmosferę podejrzliwości w szeregach partii komunistycznych. Doświadczenia terroru powszechnego ilustruje przypadkiem dobrze znanym jej z badań własnych – procesu pokazowego wspomnianej Milady Horákovéj. Opisuje również przypadek kobiety zaopatrującej się na czarnym rynku (targowisko Obor w Bukareszcie, 1952 r.), która zdecydowała się zastraszyć sprzedawcę, by zdobyć dla siebie upragnioną kurę po przystępnej cenie. Niezależnie od tego, czy kobieta ta była komunistką, czy nie, „komunistyczny system był, przynajmniej w części, tworzony i podtrzymywany przez działania takich jak ona zwykłych ludzi” (s. 62).

W trzecim rozdziale („Socialist Modernity in the 1950s and 1960s”, s. 65–91) skupia się na jasnych i ciemnych stronach życia „wschodnich Europejczyków”, ogólnikowo charakteryzując socjalistyczny system opieki społecznej i zabezpieczenia rynku pracy. Przy pełnym zatrudnieniu praca była postrzegana jako prawo, zdaniem Autorki trudno ją było stracić, ale zarazem państwo traktowało ją jako obowiązek obywatelski, ze wszystkimi tego konsekwencjami (s. 69). Feinberg wskazuje też na braki w zaopatrzeniu w żywność, wszechobecne z różną intensywnością we wszystkich krajach, skutkujące wysokimi cenami niektórych dóbr. Na wzmiankę zasłużył problem papieru toaletowego (na przykładzie jugosłowiańskim, ze wspomnień Slavenki Drakulić), kradzieże w miejscu pracy, trwałość zjawiska czarnego rynku. W osobnym podrozdziale badaczka opisuje sposoby radzenia sobie państw z powszechnym niedostatkim mieszkań (budowa osiedli mieszkaniowych z prefabrykatów). Sukces w tej dziedzinie został zilustrowany entuzjastyczną relacją obywatelki NRD, która wprowadziła się do bloku na imponującym berlińskim osiedlu Marzahn (s. 74). W następnym fragmencie Feinberg skupia się na działaniach na rzecz grup upośledzonych ekonomicznie (robotnicy, chłopci, Romowie i kobiety), wprowadzanych w życie przez rządy komunistyczne (co określa współczesnym terminem *affirmative action policies*). Godna podkreślenia wydaje się jej walka z analfabetyzmem (długo utrzymywał się na wysokim poziomie na Bałkanach); wskazuje na powszechnie obserwowane wyrównanie płac między pracownikami fizycznymi i umysłowymi (s. 79). Odwrotną stroną tych zjawisk było uprzywilejowanie ludzi władzy, wyrażające się w ułatwionym dostępie do rzadkich dóbr luksusowych i usług państwa (jak służbowy wóz z kierowcą, pozwolenia na polowanie), niekiedy w wysokości zarobków (tu podano przykład rodziny węgierskiej György Péteriego). Skomplikowaną i obciążoną niepowodzeniami politykę wobec Romów przedstawiono krótko na przykładzie czechosłowackim (z odwołaniem do badań nad uprzedzeniami Węgrów wobec tej grupy etnicznej). Kilka stron poświęca Feinberg zagadnieniu równości płci, idąc częściowo za ustaleniami i wizją Małgorzaty Fidelis (stalinizacja Polski jako okres niwelacji nierównych pozycji społecznych, destalinizacja – powrót do sytuacji, w której kobiety wskutek „konserwatywnego zwrotu” mogą się realizować tylko zawodowo w przemyśle tekstylnym, edukacji lub systemie opieki medycznej). Docenienie pracy własnej jako źródła niezależności Autorka ilustruje cytatem z polskiego czasopisma „Girlfriend” z 1957 r. (domyślamy się, że to „Przyjaciółka”, s. 83). Wywody uzupełniają szczegółowe dane statystyczne na temat różnych aspektów pozycji kobiet w krajach socjalistycznych (np. feminizacji niektórych zawodów lub wręcz dziedzin gospodarki). Praca kobiet zdaniem Feinberg była koniecznością ekonomiczną, rodziny nie można było utrzymać z dochodu tylko jednego współmałżonka. A zarazem możliwość zatrudnienia kobiet w przemyśle mogła być przez nie same odbierana jako przejaw emancypacji. Rozdział kończą rozważania o nie-szczelności żelaznej kurtyny (przepływie idei i wywrotowych książek oraz audycjach Radia Wolna Europa), jak również o ograniczonych możliwościach podróży zagranicznych.

W rozdziale czwartym („Reform and Retrenchment, 1956–1968”, s. 92–116) uwaga Autorki kieruje się na akty buntu i oporu wobec rządów komunistycznych. Stwierdza ona, że komunistyczne rządy dążyły do zapewnienia sobie autonomii wobec Moskwy, wyjątkiem była tylko Bułgaria (znamienny cytat z jej przywódcy Todora Żiwkova z 1973 r. o tym, że jego kraj i Związek Radziecki to „jedno ciało oddychające jedną pierśią i odżywiane tym samym krwiobiegiem”, s. 92). Ucieczka Józefa Światły, polski Październik i powstanie węgierskie zajmują tu wiele miejsca (z odwołaniem do pracy Pawła Machcewicza *Rebellious Satellite. Poland 1956*, Washington 2009). Na Wisłą „masy odgrywały decydującą rolę w określeniu przyszłości systemu socjalistycznego”, a rząd w 1956 r. odzyskał legitymizację społeczną na ponad dwadzieścia lat (s. 93). Autorka pokrótce charakteryzuje specyfikę narodowego komunizmu w Rumunii i odrębność Albanii oraz eksperyment praskiej wiosny, jak również polskiego Marca 1968 (wywód z cytatem z uczestnika strajków studenckich Jana Walca). Stwierdza, że ludzie w Europie Wschodniej „żyli w kulturze, która była nasycona wartościami i ideałami socjalistycznymi. Kultura ta nie była po prostu narzucana od góry, lecz współkształtowana przez działania zwykłych ludzi, żyjących w swej codzienności” (s. 111). To ważne stwierdzenie, które zostało zaraz skontrowane poprzez syntetyczne przedstawienie roli aparatu represji i inwigilacji w utrzymaniu władzy nad społeczeństwami. Tak, Feinberg zdecydowanie unika jednostronnych sądów.

„Consumerism and its Consequences during Late Socialism” (s. 117–144) to piąty rozdział książki, traktujący o okresie prosperity, który Feinberg nazywa socjalizmem lodówkowym, zaznaczając, że ceny pożądanых artykułów gospodarstwa domowego, jak odbiorniki telewizyjne, pralki itp. były znacząco wyższe niż na Zachodzie w relacji do średniego dochodu. Autorka podaje dane statystyczne na temat nasycenia gospodarstw domowych tymi artykułami, nie pomijając zagadnienia samochodów osobowych. Pokrótce opisuje zjawisko placówek handlu detalicznego, w których rozprowadzono produkty za waluty zachodnie (Pewex, Tuzex), przy czym np. w Bułgarii w sklepach takich – aby nie reklamować zachodniego stylu życia – nie sprzedawano pewnych produktów, jak lakier do paznokci, szminki, tabletki antykoncepcyjne czy prezerwatywy (s. 122). Bułgarskie kobiety próbowały też unikać za wszelką cenę perfum o zapachu róż, szukając czegoś innego (olejek różany był produktem eksportowym tego kraju, używanym powszechnie). W polu uwagi Feinberg pojawiają się także sposoby spędzania czasu wolnego, jak konsumpcja alkoholu, oglądanie telewizji (także zachodniej, zwłaszcza w Czechosłowacji i NRD), camping, caravaning, wakacje zagraniczne, wreszcie życie na działkach, a nawet nikotynizm (Bałkany). W latach siedemdziesiątych co trzeci mieszkaniec Pragi był posiadaczem działki rekreacyjnej („chałupy”, jak mówią Czesi, s. 127)! To unaocznia skalę wycofania społeczeństwa czechosłowackiego w prywatność po upadku praskiej wiosny. Podrozdział „Kid or Car?” (s. 129–133) poświęcony został problemom demograficznym i polityce natalistycznej krajów bloku wschodniego. Autorka, referując przepisy o dopuszczalności aborcji w różnych krajach, nie popada w zachwyt nad stopniem wyzwolenia kobiet, rzeczywistość bowiem nie była usłana różami. Od połowy lat sześćdziesiątych kraje – może poza Polską – ograniczały dostęp do legalnej aborcji. Bułgaria odebrała możliwość przerwania ciąży kobietom bezdzietnym w 1967 r., rozciągając ten przepis w 1973 r. na kobiety z jednym dzieckiem. Skrajnym przypadkiem była na tym polu Rumunia po 1966 r. (cytaty z Nicolae Ceaușescu o obowiązkach kobiet, s. 131; drastyczny przypadek anonimowej Rumunki, która by uniknąć kolejnych urodzeń – a miała dwoje dzieci – poddawała się zabiegom nielegalnym, trafiając wskutek komplikacji trzy razy do szpitala; raz skazano ją za uchylanie się od rodzenia na karę pół roku więzienia, s. 132). Dopełnieniem tych wątków jest fragment o półjawnym, ale tolerowanym w Europie Wschodniej życiu homoseksualistów.

Feinberg poświęca nieco uwagi zanieczyszczeniu środowiska naturalnego przez przemysł (przypadek „czarna trójkąta”, gdzie stykały się granice NRD, PRL i Czechosłowacji), po czym przedstawia narodziny ruchu dysydenckiego – Karty 77 oraz Komitetu Obrony Robotników. Wątek konsumpcji i oporu wobec władzy łączy tu znany list otwarty Václava Havla do sekretarza

generalnego Komunistycznej Partii Czechosłowacji Gustáva Husáka z 8 kwietnia 1975 r. Rzeczywiście pisarz wskazywał nie tylko wszechobecność strachu jako narzędzia władzy, lecz także politykę społeczną władz, robiącą z ludzi „posłusznych członków konsumpcyjnego stada” (cytat z listu dobrała Feinberg). Takich lewicowych akcentów krytycznych w publicystyce KOR nie znajdziemy, a w każdym razie nie przenikały do dokumentów oficjalnych ugrupowania. Historyczka, przedstawiając z sympatią ruch dysydencki (polski i czechosłowacki), podkreśla jego małą liczebność. Nie obyło się także bez przywołania eseju *Siła bezsilnych* Havla, który badaczka uznaje za jeden z najważniejszych tekstów programowych opozycji wschodnioeuropejskiej. Wraca do niego zresztą na s. 173, o czym jeszcze będzie mowa.

Dekadę lat osiemdziesiątych nazywa Feinberg okresem kryzysu (rozdz. szósty, „Decade of Crisis”, s. 145–171). Dobrobyt się załamał, pojawiły się wtedy ostre niedobory na rynku w niemal wszystkich państwach. W Polsce po wizycie Jana Pawła II zaszła „rewolucja ducha”, jak to nazywa Autorka (cytując tu świadectwo Jana Lityńskiego opublikowane w korowskim „Robotniku”). Skutkowało ona w jej ujęciu powstaniem związku zawodowego Solidarność, „ruchu społecznego względnie formy niezależnego społeczeństwa obywatelskiego” (s. 147). Cele ruchu oddaje dobrze dobranym cytatem z programu przyjętego przez I Krajowy Zjazd Delegatów Solidarności w październiku 1981 r. (s. 148)⁵. To pokazuje, jak przemyślana jest ta książka. Cytaty ze źródeł są zazwyczaj niedługie, ale za to dobrze dopasowane do celu narracji i nader liczne. Do czytelnika przemawiają najczęściej tzw. zwykli ludzie.

Na zasadzie wyjątku od przeważająco niekorzystnych tendencji ekonomicznych Feinberg pokazuje starania władz Bułgarii o utrzymanie i rozwój przemysłu dóbr elektronicznych (s. 150). Starania dość owocne, skoro w 1985 r. produkowano w tym kraju 45% wszystkich komponentów używanych w komputerach i tym podobnych zaawansowanych technologicznie urządzeniach całego bloku wschodniego. Gorzej było w Rumunii, gdzie przerwy w dostawach prądu pogrążyły całe miasta w ciemności, a mieszkańców w chłdzie, ci zaś szukali ratunku na czarnym rynku (nielegalna ekonomia była problemem i zarazem sposobem na wydobycie się z tarapatów, jak trafnie to podsumowano, s. 151). Drogi wyjścia z trudności ekonomicznych opisuje Feinberg szerzej na przykładzie doświadczeń węgierskich (koncepcja socjalistycznej przedsiębiorczości ekonomisty Tibora Liski, która polegała na udostępnieniu obywatelom państwowych środków produkcji po godzinach pracy). W połowie ostatniej dekady komunizmu aż 4 mln Węgrów miały się angażować w tego rodzaju małe biznesy, a odpowiadały one za czwartą część produktu krajowego brutto. Podrozdział „Brotherhood and Unity” (s. 153–158) wprowadza wątek genyzy wojny na Bałkanach i rozpadu Jugosławii. Brzemienne w skutkach wydarzenia zaczęły się od protestów albańskich studentów w Kosowie w 1981 r. przeciwko niezadowolającym warunkom bytowania i perspektywom zatrudnienia. Wywołało to poczucie zagrożenia u Serbów, będących w mniejszości w tej części Jugosławii. Ich nastroje i dążenia wyraziło memorandum Serbskiej Akademii Nauk z 1986 r., które stało się samizdatem politycznym, z czego umiejętnie skorzystał polityk Slobodan Milošević. W 1989 r. połała się krew, zrazu w Kosowie, potem gdzie indziej. Konfliktów etnicznych doświadczały i inne kraje. Autorka przywołuje tu dramatyczne skutki „procesu odrodzeniowego” i przymusowej bułgaryzacji zwyczajów i imion – ucieczkę 350 tys. Bułgarów pochodzenia tureckiego za granicę. Tłem dla tych procesów osłabiania więzi zależności geopolitycznych w bloku wschodnim była oczywiście pierestrojka, opisana kompaktowo. Nie zabrakło wzmianki o niepowodzeniu referendum o „drugim etapie” reformy gospodarczej w PRL w 1987 r. oraz Okrągłym Stole jako sposobie wyjścia z impasu politycznego. Ciekawie wyjaśnia Feinberg genezę niezadowolonego społeczeństwa wschodniemieckiego w 1988 r. Otóż jej zdaniem za wszystkim stał problem mięsa – wieprzowiny, której

⁵ Idzie o słowa z pierwszej części Uchwały programowej I KZD: „Chodziło nam również o sprawiedliwość, o demokrację, o prawdę, o praworządność, o ludzką godność, o swobodę przekonań, o naprawę Rzeczpospolitej, nie zaś tylko o chleb, masło i kiełbasę”.

jakość wskutek złych decyzji rządu spadła (wzrósł udział tłuszczu w produkcie końcowym). Tusze nierogacizny z powodu złej organizacji rzeźni i chłodni były dostarczane do sklepów w całości, co skutkowało wieloma problemami, a personelu do prowadzenia sprzedaży detalicznej brakowało (s. 164). To przyczyniło się do wzrostu niezadowolonych obywateli NRD. W efekcie – zaczęli oni masowo szukać możliwości ucieczki z kraju (przez Węgry, Czechosłowację, Polskę). Po kilku miesiącach runął mur berliński, co Autorka referuje, nie tracąc z pola widzenia wydarzeń w innych krajach regionu. Konstatuje zarazem, że doszło do zmiany tych rządów, które podążyły za pierestrojką, jak i tych, które próbowały ją ignorować czy ograniczać jej oddziaływanie.

Rozpoczął się okres przejściowy, opisany w rozdziale kolejnym („From Communism to Neoliberalism”, s. 172–198). Feinberg podkreśla powszechne w krajach Europy Wschodniej poczucie rozczarowania i zawiedzionych nadziei na szybkie owoce transformacji ustrojowej. Przywołuje tu znamienne słowa z *Sily bezsilnych* Havla o tym, że w demokracjach zachodnich wolność jest rodzajem iluzji. Takie odniesienie lekturowe podbudowuje kierunek wywodów badaczki, wszak nie chce ona bynajmniej w ten sposób – *per procura*, za owych „wschodnich Europejczyków” – wyrazić tęsknoty do realnego socjalizmu. Wskazuje za to na skutki przyjęcia neoliberalnego podejścia w zarządzaniu gospodarką, np. zamknięcie wielkich fabryk w NRD, jak Wartburga (do 1994 r. we wschodniej części Niemiec w przemyśle zniknęły 4 mln miejsc pracy). Wyjątki tu wymienione to czeska Škoda, kupiona przez koncern Volkswagena, oraz rumuńska Dacia, przejęta przez Renault. Do pozostałych negatywnych przejawów okresu przejściowego zalicza oligarchizację, chaotyczne decyzje gospodarcze, nie zawsze pomyślne lub wręcz przestępcze. Za szczególny symbol pozbawionego reguł przejścia do gospodarki rynkowej uznaje piramidy gospodarcze (ilustruje to przykładem albańskim i rumuńskim). Ale też zwraca uwagę na szybkie kariery, odwołując się do losów pracowników koncernu amerykańskiego Gerber z Polski i Czechosłowacji. Rejestr bolączek czytelnika pochodzącego z tej części kontynentu nie zaskakuje – całe regiony nagle traciły źródła bogactwa, gdy np. zamykano lub prywatyzowano kopalnie (podany tu przykład bułgarskiego Rodopi). „Przejście do gospodarki rynkowej usunęło niedostatki socjalizmu, lecz niekoniecznie przyniosło szczęście” – konstatuje z empatią Feinberg (s. 183). W kolejnym fragmencie tego rozdziału badaczka zajmuje się zjawiskami politycznymi, jak wzrostem nacjonalizmu, np. węgierskiego (o odcieniu rewizjonistycznym), niechęcią do Romów (nastawienie to nazywa rasizmem i uznaje za powszechne w całej Europie Wschodniej, s. 185). Relatywnie wiele miejsca Feinberg przeznaczona na wojnę na Bałkanach (padają nazwiska głównych przywódców politycznych i wojskowych, miejsca najgroźniejszych zbrodni). Rozdział kończy opis starań państw naszej części kontynentu o przyjęcie do Unii Europejskiej (plakat z okresu referendum akcesyjnego z Polski został pokazany na s. 191). Nie zabrakło także ponownie wątku mniejszości etnicznych, w szczególności wspomnienia antyromskich zarządzeń rządów Włoch i Francji z pierwszych lat XXI w.

Opisując kiedyś na tych łamach książkę Briana Portera-Szűcsa o historii Polski w XX w., nie odniosłem się szczegółowo do ostatniego jej rozdziału o czasach III Rzeczypospolitej⁶. Wikłanie się w aktualia wydało mi się zajęciem już tylko publicystycznym i ryzykownym. Wszelako recenzentowi nie wypada pomijać tego, co jeszcze historią nie jest, a co analizują na gorąco politolodzy bądź socjologowie. Rozdział finalny, ósmy, sięga naszych czasów, a zarazem dopełnia koncepcji całego dzieła. Przeto snuje Autorka swą opowieść niemal do roku wydania książki. Po rozszerzeniu UE na wschód, po kryzysie gospodarczym 2008 r. w niektórych krajach władzę przejęły partie populistyczne (pada tu przykład Polski i Węgier). Autorka podaje najważniejsze punkty agendy politycznej wschodnioeuropejskiego populizmu. Jedną z przyczyn niezadowolonych, które pozwoliło na wzmocnienie tego nurtu politycznego, widzi w swobodnej i pozbawionej barier polityce kredytowej, zwłaszcza na rynku hipotecznym, i jej krach (przypadek Węgier). Tak właśnie

⁶ B. Kaliski, [rec.:] B. Porter-Szűcs, *Poland in the Modern World. Beyond Martyrdom*, Chichester 2014, „Polska 1944/45–1989. Studia i Materiały” t. 16, 2018, s. 317–320.

powstały nowe zjawiska, jak tzw. nieoliberalna demokracja. Feinberg nie ocenia pochopnie, jako się rzekło, gdyż cytuje małżeństwo polskich obywateli nazwiskiem Kowalczyk, którzy w 2015 r. głosowali na partię Prawo i Sprawiedliwość. Ich dochód za rządów tej partii wzrósł dwukrotnie, mogli sobie na więcej pozwolić, zainwestować wreszcie w edukację dzieci. W rozdziale tym pojawiają się i inne postaci z polskiej debaty publicznej, np. przy okazji sporów wokół płci kulturowej (gender) – socjolożka Agnieszka Graff i bp Tadeusz Pieronek (cytuje się wypowiedź hierarchy o tym, że tzw. ideologia gender jest gorsza od komunizmu i nazizmu jednocześnie, s. 206). „Widmo gender”, jak poświadcza Feinberg, pojawiło się i w innych krajach, jak Rumunia czy Bułgaria oraz oczywiście na Węgrzech (kampania koncernu Coca-Cola w 2019 r. pod hasłem „zero cukru, zero uprzedzeń”, która wywołała wiele kontrowersji, s. 210). Historyczka przedstawia też pokrótce spory o aborcję w Polsce, podaje dane na temat skali mobilizacji ruchów kobiecych w obronie praw reprodukcyjnych. Podsumowując stwierdza, że „antygenderowy aktywizm”, choć jest fenomenem globalnym, to zawsze odpowiada na jakieś zapotrzebowanie lokalne. W kontekście zaś „postkomunistycznej Europy Wschodniej” koncept tzw. ideologii gender krystalizował lęki związane z możliwą utratą tożsamości po wstąpieniu do UE, obawami o przyszłość (s. 212). Takie wytłumaczenie *prima facie* oczywiście wydać się może trafne, ale na pewno nie jest wyczerpujące.

Ostatnie strony książki to krytyka koncepcji historycznej Domu Terroru (w Budapeszcie) i Muzeum Rumuńskiej Pamięci w Sighecie. Obie te instytucje każą patrzeć na komunizm w tej części kontynentu jako na twór totalitarny. Pojęcie totalitaryzmu zaś wydaje się Autorce co najmniej mało precyzyjne. W tym kontekście podejmuje ona też krytykę Instytutu Pamięci Narodowej i analogicznych instytucji w Czechach i na Słowacji, wskazując, że poza badaniem przeszłości mają one do wypełnienia moralną misję identyfikacji ofiar i sprawców. Tymczasem amerykańska historyk dąży do tego, by ich urzędowa wizja przeszłości, ujęta w prostych terminach („opresja i brak wolności”, s. 218) nie była jedyną, z jaką mamy do czynienia. Wypada się z tym zgodzić: nauka historyczna tylko skorzysta z konfrontacji podejść badawczych i interpretacji. I z pochwały nieoczywistości, jaką uprawia Melissa Feinberg. Potrafi ona bowiem odkryć janusowe oblicze tego czy innego zjawiska społecznego bądź kulturowego, właściwego omawianemu ustrojowi (jak np. praca kobiet w przemyśle).

Książka w wersji drukowanej prezentuje się skromnie, w wersji elektronicznej ta skromność na pewno nie przeszkadza – czarno białe zdjęcia, nieliczne, proste mapki, przypisy końcowe. Z uznaniem chciałbym podkreślić, że nie znalazłem w niej wielu błędów merytorycznych (aczkolwiek danych statystycznych, całkiem tu licznych, nie sprawdzałem). Niektóre odnalezione to proste omyłki, np. błędna datacja powojennego zwycięstwa wyborczego Labour Party w Wielkiej Brytanii (s. 28) czy objęcia urzędu prezydenta przez Andrzeja Dudę (s. 204). Cenzurę w Czechosłowacji zniesiono nie w marcu 1968, lecz czerwcu tego roku (s. 103). Inne uchybienia biorą się ze słabszej znajomości realiów: Imre Nagy nie był sądzony w procesie pokazowym (s. 99), w każdym razie nie w takim sensie pokazowym, jaki mu nadaje Autorka (na s. 58). Acz był to proces niewątpliwie publiczny. Mieczysław F. Rakowski nie negocjował przy okrągłym stole (s. 163). Aresztowanych po protestach w marcu 1968 czy w czerwcu 1976 r. w PRL nie można liczyć w tysiącach (s. 105, 137).

Communism in Eastern Europe można by było przetłumaczyć na język polski z pożytkiem ogólnym. To nie kompendium czy almanach wiedzy o regionie, lecz krótkie a sensowne wprowadzenie do jego dziejów, autorska synteza o niezaprzeczalnych walorach dydaktycznych. Dzieło nie poprowadzi nas przy tym na manowce intelektualne, daje niezbędne *quantum* pewnej wiedzy o procesach i zjawiskach ponadnarodowych. Mogłoby się okazać przydatne i tym, którzy się w tej części Europy urodzili, i tym, którzy przybywają tu z dalszych części świata.

Bartosz Kaliski

Bogusław Wójcik, „Być pomocnikiem partii”. Towarzystwo Krzewienia Kultury Świeckiej w służbie PZPR i ideologii marksistowsko-leninowskiej (1969–1990), Wydawnictwo Instytutu Pamięci Narodowej, Rzeszów–Warszawa 2023 (Centralny Projekt Badawczy IPN: „Władze komunistyczne wobec kościołów i związków wyznaniowych w Polsce 1944–1989”), ss. 640

Ta licząca ponad 600 stron książka stawia sobie za cel przedstawienie dziejów Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej (TKKS) w ujęciu monograficznym. Autor twierdzi, że jest to „historia organizacji oraz wprzęgniętych w jej tryby ludzi i ich służby dla ideologii marksistowsko-leninowskiej, pełniącej ważną rolę w utrzymaniu i uwiarygodnieniu systemu politycznego. Co warte podkreślenia, historia podważająca generalne stwierdzenia na temat rezygnacji rządzących w Polsce po 1956 r. z legitymizowania ustroju racjami ideologicznymi, a także tezę, że skuteczność oddziaływania ideologicznego pozostaje wypadkową siły władzy. W latach siedemdziesiątych można wprost mówić o renesansie uznania ideologii za jedną z podstawowych płaszczyzn – obok ekonomii i polityki – pokojowej walki z kapitalizmem” (s. 11–12).

Autor stawia również pytanie o „motywy działania tego stowarzyszenia” oraz o to, „w jakim zakresie kierowali się oni własnymi przekonaniami, a na ile świadomie dokonywali pragmatyzacji” swoich poglądów „oraz zgodzali się na instrumentalizację własnej organizacji”.

Wymienione w tytule pracy cezury chronologicznie Autor traktuje dość umownie i przekonująco to uzasadnia. Trudno bowiem sobie wyobrazić analizę funkcjonowania TKKS bez wprowadzenia czytelnika w to zagadnienie i wskazania na protoplastów tej organizacji takich jak: Stowarzyszenie Myśli Wolnej w Polsce (SMWwP 1945–1951), Towarzystwo Wiedzy Powszechnej (TWP 1951–1957), Towarzystwo Szkoły Świeckiej (TSS) oraz Stowarzyszenie Ateistów i Wolnomyślicieli (SAiW, 1957–1969). Podobnie jest z cezurą końcową: TKKS przestał istnieć formalnie w 1989 r., ale czymś naturalnym wydaje się doprowadzenie rozważań na jego temat do roku 1990, kiedy to nastąpiło przemianowanie na Towarzystwo Kultury Świeckiej (TKŚ), pozbawione dotacji państwowych.

Autor poświęca protoplastom TKKS rozdział pierwszy swojej pracy. Kolejne z nich noszą tytuły: 2. „Utworzenie oraz ewolucja organizacyjnej i programowej TKKS (1969–1990)”; 3. „Założenia ideowe i działalność TKKS”; 4. „Metody i środowiska oddziaływania”; 5. „Profile działaczy TKKS – próba systematyzacji”; 6. „Miejsce TKKS w systemie politycznym PRL”. Układ kompozycyjny książki jest więc problemowo-chronologiczny i może budzić pewne zastrzeżenia. Można bowiem zastanawiać się, czy zagadnienia poruszane w rozdziale trzecim i czwartym w części nie pokrywają się i czy analizie działalności TKKS nie winna być podporządkowana analiza metod i środowisk oddziaływania. Jest to pytanie moim zdaniem tym bardziej zasadne, że w zaproponowanym układzie Autor nie uniknął pewnych powtórzeń. Dotyczy to zwłaszcza uwag na temat form działalności, finansowych motywacji udziału w pracach stowarzyszenia czy jego podporządkowania partii rządzącej.

Cennym uzupełnieniem zawartych w tych rozdziałach ustaleń jest przedruk podstawowych dokumentów programowych tak TKKS, jak TSS i SAiW. Ponadto w końcowych partiach książki znajdujemy składy osobowe Zarządu Głównego TKKS oraz zapis rozmów przeprowadzonych z czołowymi działaczami Towarzystwa. Zamieszczono tam również fotografie związane z aktywnością badanej organizacji (uroczyste wręczania dowodów osobistych, świeckie pogrzeby, strony tytułowe wydawanych czasopism oraz opublikowanych broszur i książek). To z pewnością dobry pomysł, uatrakcyjniający lekturę monografii.

Podstawa źródłowa ustaleń Autora jest niezwykle bogata. Dokonał on kwerendy w kilkudziesięciu archiwach (głównie państwowych – na czele z Archiwum Akt Nowych i IPN). Odnalazł w nich dokumenty zgromadzone w zespołach TKKS i innych organizacji (wymienionych wcześniej), jak też zachowane w aktach lokalnych (głównie wojewódzkich) komitetów Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej oraz rad narodowych różnego szczebla. Uzupełniają je publikowane źródła, opracowania naukowe, prasa oraz wybrane publikacje TKKS i Centralnego Ośrodka Doskonalenia Kadr Laickich (CODKL).

Na tej podstawie otrzymujemy bodaj najbardziej wyczerpujący z możliwych obraz TKKŚ i organizacji ją poprzedzających. Bardzo trudno jest uczynić Autorowi zarzut, iż coś pominął¹. Ponadto koniecznie trzeba stwierdzić, że ważnym atutem pracy jest umiejętność budowania szerszego kontekstu analizowanych wydarzeń. Autor wykorzystuje szeroko polską i anglojęzyczną literaturę przedmiotu dotyczącą najnowszej historii politycznej komunizmu, w tym prace próbujące konstruować jego ujęcia modelowe.

Ta obfitość źródłowa sprawia, że w recenzji skoncentruję się na wskazaniu, które z ustaleń Autora są szczególnie ważne i które mogą stanowić ciekawe tropy badawcze dla badaczy problematyki objętej tematem pracy.

Dzięki skrupulatnej kwerendzie już w rozdziale pierwszym Wójcik przytacza ciekawe informacje dotyczące trudności bycia działaczem organizacji wolnomysłcielskich w powojennej Polsce. Pisze (choćby na s. 33), jakie napięcia wywołało manifestowanie laickości czy wręcz ateizmu w rodzinach czy środowiskach lokalnych² już w okresie przed powołaniem do życia TKKŚ.

Rozdział drugi, dotyczący ewolucji organizacyjnej i programowej TKKŚ, Autor rozpoczyna analizą genezy tego stowarzyszenia. Słusznie wskazuje na jego nową jakość jako organizacji laickiej, a nie ateistycznej, ściśle związanej z partią, która – zdaniem działaczy – miała zajmować się walką o „światopogląd materialistyczny, walką o moralność socjalistyczną i walką o laicyzm. [...] Towarzystwu potrzebna jest pomoc partii” (s. 107). W tym rozdziale Autor umieszcza również rozważania na temat struktury organizacyjnej i liczebności TKKŚ, pokazując także szerszy kontekst fluktuacji członków.

Dobre świadectwo warsztatowi naukowemu Autora wystawia ostrożność co do oceny wiarygodności danych dotyczących liczebności członków i lokalnych struktur stowarzyszenia (s. 174). Wydaje się, że wywód Wójcika na ten temat w wielu przypadkach jest niezwykle drobiazgowy. Oczywiście trudno mu z tego powodu czynić zarzut o charakterze merytorycznym, ale mam wątpliwości, czy konieczne było dokonywanie charakterystyki (s. 226–227) działalności TKKŚ w Szczuczynie w 1986 r. łącznie z wymienieniem pełnej listy składu Zarządu Gminnego. Podobne wątpliwości budzi opis działalności TKKŚ przy Urzędzie Miejskim w Kaletach (s. 241–242).

Rozdział trzeci zawiera rozważania dotyczące znaczenia „sowieckich fluktuacji ideologicznych” dla funkcjonowania TKKŚ, ideologicznych inspiracji jego działaczy oraz stosunku hierarchii Kościoła

¹ Co nie znaczy, że takich pominąć nie ma. Brakuje chociażby odwołania do tomu: *Nie tylko partia? Organizacje społeczne w Polsce Ludowej 1944–1989. Geneza, funkcjonowanie, znaczenie*, red. T. Ruzikowski, Warszawa 2017. Tam można odnaleźć 25 tekstów, zawierających zarówno generalne uwagi dotyczące różnych etapów w rozwoju organizacji społecznych (a przynajmniej tak nazywanych) w PRL, jak też szczegółowe ustalenia dotyczące ich działalności. Ponadto wydaje się, że dla charakterystyki walki z religią w szkole warto wspomnieć o książce Hanny Konopki (*Religia w szkołach Polski Ludowej. Sprawa nauczania religii w polityce państwa 1944–1961*, Białystok 1995). Bogusław Wójcik powołuje się jedynie na jej artykuł w „Studiach Podlaskich” z 1996 r. Warto również pod kątem tworzenia kanonów świeckiej obrzędowości przejrzeć prace powstałe w Wojskowej Akademii Politycznej (zob. m.in. Centralne Archiwum Wojskowe, Wojskowa Akademia Polityczna, AMON 172.1.3172, M. Maroszek, „Obyczaje towarzyskie wśród kadry zawodowej Ludowego Wojska Polskiego (Na przykładzie wybranych jednostek POW)”, Warszawa 1972, praca magisterska wykonana pod kierunkiem naukowym ppłka dra J. Graczyka, Wydział Pedagogiczno-Polityczny. Katedra Filozofii i Socjologii. Zakład Socjologii).

² Na s. 38 pisze o odczycie TWP, jaki się odbył w podrzeszowskim Tyczynie 8 lipca 1951 r.: „Na odczyt *O pochodzeniu człowieka* zwołano ponad stu dorosłych «przy pomocy średniowiecznych metod (bębny)»”. Przyprawdzono również ponad sto dzieci ze Śląska przebywających w Tyczynie na kolonii letniej. Według dalszej relacji „odczyt rozpoczął się o godz. 9.50. Po kilku minutach rozległ się głos sygnaturki i dorośli zaczęli opuszczać salę, udając się do kościoła. W ten sposób około 80% starszych opuściło salę”.

katolickiego do organizacji laickich w Polsce. Wydaje się, że Autor ma rację, dokonując lapidarnej, ale krytycznej oceny działalności Towarzystwa, posiłkując się tekstem Bogusława Czarminskiego, który w 1989 r. na łamach warszawskiej „Kultury” twierdził, że jego zdaniem TKKS „funkcjonowało w postaci przybudówki ideologicznej komitetów partyjnych – do walki z religią». [...] Pozbawione pozytywnego programu stowarzyszenie przejęło «arogancką rolę» przenoszenia ideologii do «świadomości mas», a jedynym programem pozostał «zespół urojeniowy TKKS»”. Składać się nań miało „przeświadczenie o wyższości myślenia świeckiego nad religijnym, przeswiadczenie o istnieniu «prawdziwych teorii» i «prawdziwego poznania» – fetysz trybunału i rozumu, pojęcie humanizmu odarte z sakralnej sfery życia społecznego, świecki klerikalizm wyrażający dążenie do zapewnienia ateistom decydującego wpływu na życie publiczne” (s. 312–313).

Niewątpliwie jako bardzo udany i wyczerpujący należy uznać rozdział czwarty (mimo sformułowanych wyżej wątpliwości kompozycyjnych). Dzięki obfitości zebranego materiału źródłowego Autor wnikliwie i skrupulatnie analizuje metody i środowiska oddziaływania TKKS.

W tym rozdziale Wójcik najbardziej zbliża się do opisu codzienności funkcjonowania stowarzyszenia, co najpełniej pokazuje jego fasadowość (mniejszą lub większą w zależności od politycznego kontekstu) i skłonność do powielania tych form aktywności, które nie były związane bezpośrednio z zagadnieniami światopoglądowo-filozoficznymi. Niechęć do tej problematyki i niewielką frekwencją na odczytach na ten temat próbowano zwiększyć, organizując je w ramach Uniwersytetu Powszechnego dla Rodziców (UPdR) w dniach... wywiadówek szkolnych! (s. 351). Aby frekwencja była jeszcze większa, próbowano uatrakcyjnić tematykę zajęć przez popularyzację wiedzy pedagogicznej i prawnej (przykładowe tematy odczytów: „Kultura życia codziennego – współżycie między ludźmi”; „Dziecko w rodzinie”; „Kultura a sport”; „Ochrona naturalnego środowiska człowieka”; „Co młodzież o prawie wiedzieć powinna”; „Chuligaństwo w świetle przepisów prawa”; „System kar zasadniczych i dodatkowych”, s. 354).

Za niezwykle ciekawe uznaję również analizy innych form pracy Towarzystwa. Dzięki ustaleniom Autora dowiadujemy się wiele o działalności wydawniczej i szkoleniowej, o kołach i klubach młodych oraz uniwersytetach młodych racjonalistów, o turniejach i olimpiadach religioznawczych oraz o próbach wypracowania zasad obrzędowości świeckiej.

Jako ciekawą propozycję metodologiczną należy potraktować próbę systematyzacji profili działaczy TKKS (rozdział piąty). Za szczególnie cenne uważam podniesienie w tym miejscu kwestii motywacji przynależności do stowarzyszenia. Na s. 448 Autor pisze na ten temat: „Podobnie jak partia rządząca i inne organizacje prorządowe również TKKS nie było siedliskiem jedynie gorliwych marksistów, społeczników i obrońców mniejszości, lecz także wyrachowanych cwaniaków” (s. 448). Pomijając kwestię w tym wypadku dość potocznego języka, Wójcik ma rację, pisząc (na s. 449), że „podobnie jak w innych organizacjach element koniunkturalnego przystosowania odgrywał podstawową rolę w decyzji o przynależności do TKKS lub niepodejmowaniu działań dystansujących się od bezwolnego znalezienia się w roli członka tego stowarzyszenia w ramach «dobrowolnych» zapisów uczniów, nauczycieli, urzędników czy pracowników zakładów pracy”.

Wójcik słusznie wskazuje na to, że owa przynależność inaczej była motywowana w latach siedemdziesiątych, a inaczej w osiemdziesiątych, jednak koniunkturalizm odgrywał rolę „motywu przewodniego”. Świadczą o tym również skrupulatnie analizowane przez Autora doniesienia tajnych współpracowników Służby Bezpieczeństwa, w tym czołowych przedstawicieli centrali TKKS³. Zdaniem autora w latach osiemdziesiątych prestiż wynikający z przynależności do stowarzyszenia

³ Jeden z nich (TW „Karol”) w informacji z marca 1986 r. pisał (s. 451, przyp. 49), że co prawda kryzys sprawił, iż TKKS w mniejszym stopniu korzystało z pomocy finansowej większych zakładów pracy, a dotacje rządowe były uszczuplone, to „działa tu nadal pewna możliwość otrzymania preferencji takich jak wczasy lub sanatoria atrakcyjne, talony na samochody, a nawet większe możliwości uzyskania mieszkania”.

zastąpiły „różne formy niechęci społecznej”, ale i tak „pozostały pensje, delegacje, gaże za odczyty, możliwość publikowania i różnego rodzaju inne sposobności «dorobienia na boku»” (s. 440–441). Ten dość odstręczający obraz działaczy dotyczy nie tylko warszawskiej centrali, ale również szczebli niższych (zwłaszcza wojewódzkich). „Historia TKKS – zdaniem dr. Wójcika – to jednak też pasmo różnego typu szwindli i malwersacji” (s. 488).

Rozdział ostatni pracy, sytuujący TKKS w systemie politycznym PRL, jest ważny przede wszystkim dlatego, że Autor pokazuje skalę inwigilacji Towarzystwa przez struktury SB i codziennej podległości komitetom partyjnym różnego szczebla.

Niezwykle inspirująca do dyskusji jest jedna z końcowych konstatacji Autora, że „duch misyjny” rządzących w Polsce, „który godził w masy obywateli «znacznie dotkliwiej niż stłumienie wolności politycznej lub wprowadzenie cenzury» osłabiał także ateistyczny wpływ zachodnich prądów kulturowych”. Można więc mówić o „efekcie «zamrożenia» procesów laicyzacyjnych przez system polityczny, który za wszelką cenę promował ich własny model” (s. 537).

Recenzowana monografia bez wątplenia dowodzi bardzo wysokich kompetencji Bogusława Wójcika w zakresie badań nad ateizacją i laicyzacją w PRL. Dzięki niej dowiadujemy się, jak w praktyce (i na co dzień) funkcjonowało TKKS i jak różnorodne były motywacje uczestnictwa w jego pracach.

Dariusz Jarosz

Konstantin Medgyesi, *Az utolsó magyar pártfőtítkár. Grósz Károly politikai életrajza* [Ostani węgierski sekretarz generalny partii. Biografia polityczna Károlya Grósza], Ludovika Egyetemi kiadó, Budapest 2024, ss. 280

Konstantin Medgyesi to węgierski historyk, socjolog i muzealnik, specjalizujący się w dziejach XX w., przede wszystkim okresie komunizmu i transformacji ustrojowej na Węgrzech. Najbardziej znaną pozycją jego autorstwa jest *Apagyilkosság* (Ojcobójstwo)¹, w interesujący i przystępny sposób ukazująca relacje pomiędzy wieloletnim przywódcą Węgier Jánosem Kádárem a jego delfinem Károlyem Grószem, szczególnie zaś polityczne napięcia między nimi. Najnowsza książka Medgyesiego stanowi natomiast pierwsze pełne, naukowe opracowanie politycznej biografii Grósza, ostatniego sekretarza generalnego Węgierskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej (MSZMP).

Autor nie tylko przedstawia sylwetkę polityka, który w latach 1987–1989 był twarzą transformacji na Węgrzech, lecz zarazem rekonstruuje dramatyczne procesy ustrojowej erozji realnego socjalizmu, widziane z perspektywy władzy. Opierając się na bogatych materiałach archiwalnych, relacjach i analizie prasy, Medgyesi oferuje panoramiczny, pogłębiony obraz końca epoki kadaryzmu. W najnowszej historiografii Europy Środkowej, poświęconej transformacji ustrojowej w naszej części kontynentu, książkę Medgyesiego można umieścić obok prac takich badaczy jak Michal Macháček² czy Martin Štefek³, którzy sytuując się na pograniczu nauk politycznych i najnowszej historii politycznej, próbują na nowe sposoby odpowiadać na pytania już wielokrotnie stawiane przez badaczy.

Jest to pozycja tym cenniejsza, że historiografia węgierska nie cierpi na przesadny nadmiar ani biografii, ani tym bardziej szczegółowych opracowań poświęconych transformacji ustrojowej. Wśród najważniejszych biografii polityków węgierskich wciąż trudny do zakwestionowania jest walor dwutomowego dzieła Tibora Huszára o Kádárze⁴, natomiast w badaniach nad transformacją ustrojową czy też – jak określają to Węgrzy – zmianą systemu (*rendszerváltás*), najważniejsze miejsce zajmuje syntetyczne opracowanie Zoltána Rippa⁵. Oba te dzieła opublikowano w pierwszych latach XXI w. Od tamtej pory pojawiają się studia wartościowe, acz dość szczegółowe⁶. Brakuje natomiast tych o szerszej perspektywie.

Recenzowana książka podejmuje próbę przedstawienia kariery urodzonego w 1930 r. polityka, który objął urząd premiera latem 1987 r., w okresie gdy mało kto na Węgrzech myślał o rychłej zmianie ustroju, a zakończył swoją misję partyjną jesienią 1989 r., gdy przemiany demokratyczne były już niezaprzeczalnym faktem. Medgyesi określa Grósza mianem „ostatniego węgierskiego sekretarza” i „najwyżej wyniesionego kádárovskiego człowieka”, podkreślając jego awans z pozycji szeregowego aparacza na szczyty. Ukazuje go jako działacza, który w momencie obejmowania władzy liczył na to, że utrzyma się tam przynajmniej dekadę – w takiej perspektywie planował „modelową” reformę systemu socjalistycznego.

Ojciec Grósza był wierzącym komunistą, który tę wiarę przekazał swojemu synowi. Podążał ścieżką, którą dla niego przygotowano, a nie tą, którą samodzielnie obrał – kiedy jako piętnastolatek

¹ K. Medgyesi, *Apagyilkosság – Kádár János és Grósz Károly küzdelme* [Ojcobójstwo. Walka Jánosa Kádára i Károlya Grósza], Budapest 2022.

² M. Macháček, *Gustáv Husák*, Praha 2017.

³ M. Štefek, *Perestrojka v Šamotce. Proměny vedoucí úlohy KSČ z perspektivy jednoho podniku* [Pie-restrojka w Šamotce. Przemiany kierowniczej roli KPCz z perspektywy jednego zakładu pracy], Praha 2024.

⁴ T. Huszár, *Kádár János politikai életrajza* [Biografia polityczna Jánosa Kádára], t. I–II, Budapest 2001–2003.

⁵ Z. Ripp, *Rendszerváltás Magyarországon 1987–1990* [Zmiana systemu na Węgrzech], Budapest 2006.

⁶ „A föld nem tud futni” – *Rendszerváltás vidéken*, wyd. J. Kovács sr., A. Schlett, Budapest 2023.

związał się z ruchem komunistycznym, jak sam wspominał, „nie wiedział jeszcze czym właściwie jest komunizm”. Kluczową rolę w początkach kariery Grósza odegrał György Aczél – później jedna z najważniejszych postaci reżimu Kádára – a zasadniczym polem socjalizacji okazały się cztery lata służby wojskowej, w czasie której dosłużył się oficerskiego stopnia. To wtedy ukształtowała się jego legendarna wprost samodyscyplina i specyficzna, pokerowa twarz.

Po służbie wojskowej, w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych rozpoczął mozolną wspinaczkę po szczeblach kariery partyjnej. Stał na czele aparatu propagandy w Miszkolcu (w odpowiedniku komitetu wojewódzkiego), gdzie przeżył dni rewolucji węgierskiej. Lincze na współtowarzyszach nim wstrząsnęły, choć on sam próbował balansować pomiędzy radykalizmem powstania i politycznym kunktatorstwem. W późniejszych latach wielokrotnie wypominano mu błędy, jakie miał popełnić w czasie „kontrewolucji”, lecz ostatecznie kierownictwo MSZMP dało mu szansę, jako „zdolnemu, uczciwemu, wiernemu partii towarzyszowi”.

Na początku lat sześćdziesiątych Grósz został pracownikiem aparatu Komitetu Centralnego i sekretarzem partii w węgierskim radiu i telewizji. Dla prowincjusza przyzwyczajonego do dyscypliny było to nowe doświadczenie. Miejsce słuchania rozkazów musiało zająć codzienne negocjowanie stanowisk i postaw. Na ile skutecznie? Z jednej strony skutecznie, bo aktywność na tym polu przyniosła Grószowi dalsze awanse. Z drugiej, jego pozycja wśród budapeszteńskich elit nie była wysoka. Do czasu. Jego kariera w budynku KC na placu Jászai Mari wystrzeliła. Najpierw został zastępcą (od 1967 r.), a następnie szefem Wydziału Propagandy MSZMP (od 1974 r.).

Grósz był sprawnym aparatczykiem, nie intelektualistą. Wieczorowo skończył kierunek socjalizm naukowy na Uniwersytecie Loránda Eötvösa (ELTE), flirtował z takim „intelektualnym” stylem życia, ale prawdziwym intelektualistą nigdy nie został. Nie temu zawdzięczał karierę. Był sprawnym zarządcą, który jednocześnie prezentował swoisty zawadiacki styl bycia i komunikowania się: skracał dystans z podwładnymi i współtowarzyszami, zachęcał do krytycyzmu, lecz w ściśle określonych ramach. W pracy nazywano go *Karcsika*, czyli Karolek.

Jednocześnie hołdował zasadom politycznego kunktatorstwa. Jeszcze na początku lat sześćdziesiątych dostrzegał niedostatki otaczającego go komunistycznego państwa. „Stałem się znacznie bardziej krytyczny, niż byłem wcześniej” – wspominał to po latach. Im wyżej się wspiął, tym bardziej cyniczny się stawał. Zgłosił akces do środowiska zachowawczego, nieprzychylnego reformom ekonomicznym, przyjmującym w drugiej połowie lat sześćdziesiątych kształt Nowego Mechanizmu Ekonomicznego.

Jako szef Wydziału Propagandy KC musiał być bardziej uległy, a i granice jego sprawczości były wyraźnie zaznaczone. Ciekawe, że równolegle zyskiwał popularność jako świetny mówca, a jednocześnie, jak wspominał jeden z cytowanych przez Medgyesiego świadków historii: „był szary – na swój sposób. Nie wyglądał na następcę Kádára. Gdyby tak wyglądał, to zniknąłby bardzo szybko”. Było to tym istotniejsze, że już w połowie lat siedemdziesiątych zarówno Grósza, jak i kierownika Wydziału Zagranicznego KC Jánoša Berecza uważano za młodych gniewnych, z ambicjami nawet do członkostwa w Biurze Politycznym. Starzy towarzysze nie dopuszczali ich jednak nawet do członkostwa w Komitecie Centralnym. I tak aż do roku 1980, gdy obaj „młodzi” mieli już 50 lat.

Jesienią 1979 r. Grósz znalazł się na bocznym torze – odwołano go z KC, aby umieścić na stanowisku szefa regionalnych struktur partii w Miszkolcu. Jednak zręczność Grósza spowodowała, że już od 1981 r. jego rola w ogólnokrajowej polityce zaczęła wzrastać. Udało mu się też znaleźć zakorzenienie w lokalnym środowisku. „Jako pierwszy sekretarz w regionie Borsod-Abaúj-Zemplén odznaczał się najlepszymi cechami starego komunistycznego przywódcy: był twardym dyktatorem, znakomitym socjalnym demagogiem, woluntarystą, człowiekiem o ogromnej pracowitości i przywódcą trzymającym wszystko w swoich rękach” – pisali badacze cytowani przez Autora.

Jego energia była najwyraźniej tym, czego pogrążone w stagnacji komunistyczne Węgry potrzebowały. W 1984 r. powrócił do Budapesztu na stanowisko szefa miejskich struktur partyjnych. I choć liberalna inteligencja widziała w nim twardogłowego ideologa, to jako człowiek silnej ręki

podobał się towarzyszom w Komitecie Centralnym. Grósz był niezmiernie energicznym, dynamicznym administratorem. Drobne poprawki, dziesiątki drobnych decyzji, ale nie wielkie plany, które objęłyby zmianę paradygmatu działania – oto co znajdowało w jego polu widzenia, gdy piastował stanowisko szefa organizacji partyjnej w Budapeszcie. Medgyesi świetnie to ilustruje, przytaczając choćby rozliczne przykłady jego osobistych interwencji w sprawach mieszkaniowych. Te lata otworzyły Grószowi drogę do premierostwa.

Okres 1987–1989 stanowi zasadniczą część książki. Gdy János Kádár w maju 1987 r. zasugerował Grószowi, że zastąpi on wieloletniego (od 1975 r.) premiera Györgya Lázára, ten przyjął to z niedowierzaniem. Miał być „technokratyczną twarzą” zmiany, zdolną przywrócić zaufanie do reform. Reformy węgierskie były bowiem wieloletnim – i niezłe sprawdzającym się – sposobem nieustannego galwanizowania węgierskiego systemu politycznego. Swoisty werbalny kult reform był głównym paliwem ideologicznym reżimu Kádára, który nie mogąc odwołać się do nacjonalistycznej legitymizacji władzy (po stłumieniu przez Sowietów rewolucji węgierskiej takiej możliwości nie było), odwoływał się do etosu technokratycznego, bazującego na skutecznym działaniu. Objęcie przez Grósza funkcji szefa rządu miało być kolejną odsłoną sprawdzonego politycznego manewru.

Początkowo reformy Grósza miały ostrożny charakter – dotyczyły głównie reorganizacji administracyjnej, redukcji biurokracji i ograniczonych liberalizacji gospodarczych (np. wspierania prywatnej inicjatywy na małą skalę). Wpisywały się tym samym w jego utrwalony model działania: raczej administrowania, aniżeli kreowania wizji. Jednocześnie autor przekonująco pokazuje ambiwalencję, jaką odnajdziemy w postaci Grósza i w jego działalności. Był on człowiekiem, który z jednej strony rozumiał potrzebę reform, z drugiej – chciał zachować sterowność systemu i kierowniczą rolę partii. Z obszernych rozważań Medgyesiego dotyczących lat 1987–1988 wypływa wniosek, że Grósz był zwolennikiem modelu mieszczącego się pomiędzy liberalną demokracją Zachodu a kontrolowanym socjalizmem. Medgyesi prezentuje go jako polityka, który wiedział, że bez reform system się załamie, ale zarazem nie chciał dopuścić do pluralizmu politycznego, który uważał za groźny dla stabilności państwa.

Ten nierewolucyjny polityk dokonał jednak czynu rewolucyjnego w warunkach węgierskich, odsuwając od władzy Jánosa Kádára w maju 1988 r. Na Węgrzech „nie ma żadnego kryzysu, lecz są trudności” przekonywał zniechęcony dyktator, rządzący w Budapeszcie z sowieckiej poręki od jesieni 1956 r. „Kádár musi odejść!” – kontrapunktowali liderzy demokratycznej opozycji w manifestacji *Umowa społeczna (Társadalmi Szerződés)*. Decydujące zdanie miała jednak Moskwa. Michaił Gorbaczow chciał wśród liderów krajów satelickich ludzi swojego pokolenia, którzy w pełni zaangażują się w proces zmian. Dał wyraźne zielone światło do odsunięcia komunistycznego Matuzalema, a Grósz wykorzystał swoją szansę. Młodsza generacja polityków – obok Grósza m.in. Imre Pozsgay, János Berecz czy Miklós Németh – usunęła w cień „starą gwardię”.

Przed kamerami węgierskiej telewizji konserwatywny Berecz cedził słowa, by nie powiedzieć, że Kádár politycznie nic już znaczy. Z drugiej strony politycznego spektrum była frakcja reformatorska, domagająca się śmielszych kroków w duchu pieriestrojki. Grósz jako lider państwa okazał się jednak politykiem nieskutecznym, czego dowiodła m.in. klęska spotkania z Nicolae Ceaușescu w Aradzie w sierpniu 1988 r. (rozmowy dotyczyły bardzo wrażliwego problemu węgierskiej mniejszości w Rumunii), a także próby wyjścia z gospodarczego korkociągu. Jesienią 1988 r. tekę premiera objął Miklós Németh, ale z perspektywy czasu nie wzmocniło to wcale Grósza.

W roku 1989, mimo że nominalnie pozostawał szefem partii, Grósz był już postacią spychaną na margines. W książce plastycznie ukazano, że to właśnie polityczna inercja Grósza – i paradoksalna niezdolność do zaakceptowania realiów pluralizmu – uczyniła go postacią tragicomiczną. Medgyesi ukazuje go jako człowieka, który, w pewnym sensie przegrał z historią. Grósz próbował grać znaną sobie kartą silnego człowieka, ale nie sprawdziło się to ani w listopadzie 1988 r., gdy nieoczekiwanie zagroził nawrotem „białego terroru” (określenie nawiązujące do kontrrewolucji horthystowskiej wymierzonej w bolszewicki reżim Beli Kuna), ani też wiosną 1989 r., gdy przed

kamerami telewizji stwierdził, że problemy gospodarcze Węgier rozwiąże wprowadzenie stanu wyjątkowego. W maju 1989 r. w trakcie jego przemówienia filozof Attila Ágh zakrzyknął: „niech Pan nie opowiada już tych głupot!” Incydent tyleż skandaliczny, co i symboliczny. W czerwcu tego roku na czele partii nie stał już sekretarz generalny Károly Grósz, ale kwartet: Grósz, Németh, Pozsgay i Rezső Nyers. Wszystko to szło w stronę gorzkiego końca: jesienią 1989 r. Grósz zrezygnował z funkcji, a MSZMP przekształcono w Węgierską Partię Socjalistyczną (MSZP). Próby politycznego życia po życiu, czyli zakładanie przez Grósza partii kontynuującej tradycje komunistyczne, spaliło na panewce. Zmarł na emeryturze, w 1996 r.

Medgyesi pokazuje, że Grósz działał w warunkach nie tylko pogłębiającego się kryzysu gospodarczego, lecz także rosnącej presji społecznej i międzynarodowej. W książce omówiono reakcje społeczeństwa – rosnącą aktywność ruchów opozycyjnych, debaty medialne, a także powstanie nowych ugrupowań politycznych. Wartością książki jest także analiza stosunku Grósza do Gorbaczowa. Werbalnie obaj deklarowali przywiązanie do reform. Zarazem różnili się co do ich zakresu i celów: Grósz widział w pierestrojce model ograniczonej modernizacji, dla Gorbaczowa była to nowa rewolucja październikowa, wielki zasób legitymizacyjny, życiodajny impuls dla socjalizmu. Jednocześnie żaden z nich nie rozumiał ani głębi społecznych oczekiwań, ani szybkości, z jaką zmieniła się sytuacja. Ronald Reagan, zapisując w dzienniku wrażenia z wizyty Grósza w Białym Domu w lipcu 1988 r., określił go mianem „węgierskiego Gorbaczowa” – może w tym szaleństwie rzeczywiście jest metoda? Czy na Gorbaczowa nie powinniśmy patrzeć właśnie w powiązaniu z Grószem? To kusząca perspektywa. Obaj byli niemal równoletkami – Gorbaczow młodszy o osiem miesięcy – i obaj byli produktami systemu, choć Gorbaczow znajdował się bliżej jego centrum. Grósz nie był ideologiem (choć różne jego ideologiczne próby Medgyesi streszcza i analizuje), był urzędnikiem, który potrafił adaptować się do zmian, aż do momentu, kiedy zmiany przerosły jego możliwości percepcyjne. Czy do pewnego stopnia tego samego nie możemy powiedzieć o Gorbaczowie?

Az utolsó magyar pártfőtitkár to książka rzetelna i uczciwa wobec swojego bohatera. Autor unika hagiografii, ale i nie popada w pamflet. Z metodologicznego punktu widzenia jest to praca wyraźnie tradycyjna, koncentrująca się na sferze oficjalnej i instytucjonalnej. W książce brak „prywatnego” Grósza; Autor ukazuje go raczej jako figurę symboliczną – element mechanizmów systemu komunistycznego, ucieleśnioną w konkretnej historycznej biografii. Był to ostatni człowiek starego systemu, który chciał go zmodernizować, lecz nie rozumiał, że czas nie jest po jego stronie. Biografia ta pokazuje, że procesy przemiany nie były jednoznacznie zdeterminowane przez opozycję, lecz rozgrywały się również wewnątrz struktur władzy. W pewnym sensie Grósz to postać tragiczna – chciał być reformistą, został konserwatystą. Takich ludzi władzy odnajdziemy w każdym z państw bloku komunistycznego.

Kontekstów do potencjalnych refleksji porównawczych znajdziemy w książce bardzo wiele. Medgyesi już we wstępie sygnalizuje międzynarodowe powiązania i wzajemne inspiracje pomiędzy przywódcami bloków w ostatnich latach istnienia systemu. Przykładowo opisuje wpływ spotkań Grósza z Wojciechem Jaruzelskim – wedle autora polski lider przestrzegał Węgry przed złudzeniem utrzymania władzy siłą, dzieląc się refleksją, że stan wojenny pozwolił jedynie kupić trochę czasu, którego polscy komuniści i tak nie potrafili wykorzystać. Grósz miał zapamiętać tę lekcję, co (zdaniem Medgyesiego) pozytywnie wpłynęło na pokojowy przebieg węgierskiej transformacji. Gdy kusiła go myśl o użyciu przemocy wobec protestów, przypominał sobie przestrogi Jaruzelskiego i mimo wszystko odstępował od tej opcji.

Praca stanowi godny odnotowania wkład w historiografię transformacji w Europie Środkowej. Drobne niedociągnięcia nie zmieniają faktu, że jest to lektura godna uwagi. Biografie polityków innych reżimów komunistycznych pozostają w Polsce wciąż słabo znane, a tymczasem tylko szerokie spojrzenie umożliwi dostrzeżenie procesów, które uznamy za charakterystyczne dla systemów dyktatorskich, dla systemu komunistycznego w ogóle lub dla narodowych odmian socjalizmu.

Zestawianie biografii Grószka z politykami polskimi, jak choćby Mieczysławem Rakowskim, pozwala na uchwycenie modelowych trajektorii karier w ramach elit państw komunistycznych. Wreszcie prześledzenie szczytów polityki kraju niesuwerennego stanowi znakomite ćwiczenie w poszukiwaniu granic realnej politycznej sprawczości aktorów historycznych wydarzeń. Dla badacza środkowo-europejskiego komunizmu to z pewnością jedno z najważniejszych wyzwań.

Michał Przeperski